Korespondencya Karola Szajnochy z Karolem Wildem.

(W 100 rocznicę urodzin, a 50-tą śmierci znakomitego historyka).

(Ciąg dalszy).

XXII.

(List do Leonii Wildowej).

Korczyn, 8 sierpnia 1860.

Mam ten dość niepochlebny dla rozsądnego człowieka przesąd, że dość mi powiedzieć: tak się coś stanie, aby się niezawodnie stało inaczej. Otóż zaledwie po otrzymaniu ostatniego listu z Wełdzirza powiedziałem sobie niechcący: muszę dziś jeszcze odpowiedzieć — zaraz zesłał mi Pan Bóg gościa, mojego lektora, a bardzo poczciwego i dobrej głowy chłopca ze Lwowa, który całotygodniowym pobytem u nas zabrał mi swobodę do obszerniejszego pisania. Po tak długiej zaś zwłoce zestarzała się jakoś cała odpowiedź i jak poważna matrona kiwa tylko głową na te koncepta, któremi gotowa była ustroić się.

Dlatego powiem Pani po prostu, iż się nie omyliłem wcale w moim domyśle o wojnie, którą mi Pani wypowiedziałaś w liście do pani Jabłonowskiej. Tak jest, zmiarkowałem odrazu, iż mowa o mojej reklamacyi z powodu artykułu Ujejskiego — i z tej przyczyny wypisałem Pani tak szeroce moje o nim zdanie dawne i teraźniejsze — dość przeciwne niestety, abym sobie miał życzyć po-

gadanek, żem dzwonił na to kazanie. Nie chciałem nigdy liczyć się do publicznych adwersarzów Ujejskiego — i teraz w każdym razie ile możności zwracam uwagę na lepszą stronę jego przesadnych artykułów, ale nie poczuwając się do zgody z ich formą, a bardzo często i treścią, dlaczegożby mi chciano brać za złe, żem odparł pogłoskę o znaczniejszym udziale w ich wyjściu na świat.

Autorem tej pogłoski miał być z pewnością Dobrzański, do niego też udałem się w tej mierze, nie do Kornela — i żadnego o to zarzutu nie uczyniwszy niewinnemu w tem istotnie Korneiowi — nie wiem, czembym mu miał uchybić. Jeśli zaś Kornel moją nieochotę do sprzeczania się z nim o rzeczy, w których od dawna zanadto przeciwnego byliśmy zdania, i o które nie chciałem rozbijać naszego ostatniemi czasy odnawiającego się zbliżenia z sobą — wziął za ochotę przyznawania się do przeciwnych im dążeń — mojaż w tem wina? Toć kiedy zaraz w początkach artykułu o Polu Kornel odezwał się przedemną, że nie dba o nikogo, jeśli pewien jest approbacyi mojej i Małeckiego, — czyż w obecności Karola nie ostrzegłem go bardzo wyraźnie, aby nie liczył na nas, bo Małecki wręcz potępia jego artykuł, a ja . . . . . . Zapewne zanadto miękko owinąłem moje słowa o sobie, bom mówił z przyjacielem, którego zażyłość ze mną bardzo sobie ceniłem. Prawda iż przed tem sam mu o zgodzie Małeckiego na artykuły nieco goretsze niż zazwyczaj wspomniałem, ale to wszystko działo się jeszcze wtedy, kiedy i Małecki odemnie i ja od Kornela znaliśmy te artykuły dopiero w samym projekcie, — projekcie jak dla mnie, tak i dla każdego powabnym i pożądanym, nie zaś w ich wykonaniu przesadnym, z którem się żadną miarą zgodzić nie można. Tak jest — po raz piąty i pięćdziesiąty — nic piękniejszego nad projekt, a nawet nad wykonanie niektórych artykułów, jak n. p. o Towarzystwie muzycznem i o Brzeżanach, — ale za nic w świecie nie każcie mi Państwo milczeć, gdy mnie chcą zrobić podżegaczem artykułu o Polu. Oprócz wymierzonej do Dobrzańskiego protestacyi przeciwko temu, nie przypominam sobie w moim liście nic takiego, czembym obrazić miał Ujejskiego.

Gdyby tak było, mocnobym tego żałował i wszelkich Pani łaskawych dla mnie względów zawezwałbym na pomoc, aby bogdaj w części udobruchać ku mnie Kornela. Jakoż śmiem ufać z pewnością, iż przy życzliwem posrednictwie Pani pomiędzy nami nie przyjdzie do zupełnego zerwania dawnych stosunków. Miałbym też zaraz coś przyjemnego do powiedzenia o Kornelu i jego piórze. Nie możesz Pani uwierzyć, jak mię ujął artykuł o abecadle. Dla

zapobieżenia jednak nowemu nieporozumieniu muszę chcąc nie chcąc zacząć, iż potępiam stanowczo jego osobistą intencyę mszczenia się na wszystkich przeciwnikach, jego exaltacye dla rzeczy mniej tego godnych, jak n. p. dla kapłana, o którym wyraźnie powiedziano, że nie czuje wcale pochopu ani do szabli, ani do kozy (wolno więc księdzu unikać bizunów i szanować się dla pracowania około moralności arcykosmopolitycznej czeladzi rzemieślniczej, czyli inaczej wolno mu robić, co mu się właśnie podoba, a niema tej wolności uczony, którego szperanie około przedmiotów narodowych może stanąć śmiało obok katechizowania czeladzi, a któremu Kornel każe koniecznie zajmować się czem innem?),

Osobliwie zaś gniewa mię w Abecadle folgowanie złośliwemu humorowi aż do najnieprzyzwoitszego cynizmu, który wszelką wiarę w czystość natchnienia odejmuje.

Z tem wszystkiem jest w tym artykule wiele prawdy, wiele dowcipu, a co mię najwięcej uderzyło i ucieszyło — pewna naturalność wyrazu, za którą koniecznem następstwem idzie i pójdzie na przyszłość mniejsza nienaturalność wyobrażeń, — jest w tem, jak sam Bielowski z uznaniem wyrzekł, „początek dobrej prozy“ — rzecz nieodzowna w każdym artykule prozą. Ale cóż nam karłom chwalić olbrzymowi, że z kaprysu chciał na chwilę przybrać wzrost i kroki zwyczajnego człowieczka! Jutro, nie daj Boże, przedzierzgnie się on znowu w olbrzyma, a ja, pigmejczyk, chyba tylko olbrzymiością listu niniejszego poniekąd dorównać mu potrafię.

W istocie list mój z owej poważnej matrony grozi zostać gigantem, biorącym na swoje barki górę za górą — kartkę za kartką. Oto już trzecia u końca, a ja mnóstwo jeszcze mam do pisania. Zwłaszcza, że tym razem pisać mam i za żonę, która w tej chwili to poszukiwaniami dla mnie w kronikach i herbarzach, to malinami, to bielizną tak jest zajęta, że dla małżeńskiego pomieszczenia się ze mną w jednej kopercie każe mi czekać z listem swoim dalszych dni kilka, na co nie chcąc zezwolić, a lękając się, aby i po kilku dniach nie znalazły się takie same przeszkody — w największej części niestety z mojej własnej winy pochodzące, — wolę tym razem zastąpić ją w odpowiedzi i w naszem obojga imieniu kończę, — że się zawsze jednostajnie, t. j. odpowiednio czasowi, na wpół pogodnie, na wpół słotno — na wpół wesoło, na wpół nudno miewamy, — że z końcem miesiąca radzibyśmy stanąć we Lwowie, — że żona moja odwiedzała panią Jabłonowską w nowem mieszkaniu w Skolem, — że zawsze dobrze

się miewa, — że pani Jabłonowska w połowie sierpnia wraca do Lwowa i t. p., i t. p.

Od siebie chyba dodam, że mając tu towarzystwo Bielowskiego i Szmita, jakoteż obydwa pisma lwowskie, w samą miarę rozrywek literackich, a wiadomości polemicznych nad miarę. Za kilka dni powinienby według obietnicy zjechać tu Zachariasiewicz z Kaczkowskim, a w takim razie mógłbym się znaleźć w potrzebie odezwania się do polemizujących kolegów, jak się mój Władzio odzywa do matki, gdy się znudzi jej czytaniem mu w głos: Mamo, nie czytaj już, bo zagłuchnę!

Ale obietnica Zachariasiewicza zapewne bajka — jak grzecznym bąkiem była także wzmianka Karola przed moim lektorem we Lwowie, że może na kilka chwil zabłądzi do Korczyna. Bardzo mu za nią dziękuję, — ale nie mam wcale tego zarozumienia, aby dla Korczyna bogdaj kilku godzinami ukrzywdził Wełdzirz. Niebawem, da Pan Bóg, znajdziemy się wszyscy we Lwowie.

Tymczasem drodzy i kochani Państwo bywajcie nam zdrowi i przyjaźni oboje — z wszystkiemi przynależytościami obojej płci.

Wasi szczerze życzliwi

K. i J. Sz.

(Edzia Hoszowskiego serdecznie pozdrawiam).

XXIII.

Stare miasto p. r. Smolnica, 15 sierpnia.

Kochany Karolu! Gelegenheit macht Diebe — lecz tylko z Niemców, — z Polaków okazya tem pamiętniejszych o sobie przyjaciół czyni. Dowodem tego mój list niniejszy. Zdarza mi się okazya do napisania listu, więc zamiast zbyć się kilku nudnych listów z interesami, wolę odezwać się do Ciebie, lubo Ty właściwie powinienbyś odezwać się pierwej do mnie, mając odpowiedzieć mi jeszcze na ów olbrzymi list o Szujskim. Ale nie chcę się wdawać z Tobą w rachunki, bo zapłaciłeś mi sowicie za 30 arkuszy Szkiców, a niema ich tylko 28.

Na później więc odkładając rachunki, wolę zacząć od bliższego obeznania Cię z ową okazyą, która dała powód bazgraninie niniejszej. Wielki odpust w Pacławiu! w Pacławiu, koło Dobromila, na cześć Wniebowzięcia Najśw. Panny we czwartek. Od dni kilku roje pielgrzymów góralskich aż z tamtej strony Karpat cią-

gną poprzed naszemi oknami na Kalwaryę pacławską. Osobliwość różnojęzycznych i różnostrojnych Rusinów, pielgrzymujących na odpust polski, skłoniła mię do zachęcenia kilku młodzieńców tutejszych, między którymi i mojego lektora, Sośnickiego, w drogę na odpust za pielgrzymami, dla przypatrzenia się ciekawemu w swoim rodzaju widowisku.

Gdy jednak lektor mój w tą naukową intencyę wchodzi, kucharka żony mojej z intencyi pobożnej w tąż samą ruszyła drogę, przez co pozbawiony pomocy i lektora i żony mojej, zmuszonej doglądać kuchni, pozostałem na dłuższy czas samotnym z moją tablicą do bazgrania... panem okazyi do nagryzmolenia kilku listów, z pomiędzy których najpowabniejszym okazał się do Ciebie. A więc witaj! witajcie! jak się macie! Daj Boże, aby lepiej, niż my! Bo z nas nie wiele lato i pobyt wiejski mają pociechy. Tylko nasz malec używa ogrodu i świeżego powietrza.

Ja ani łazić, ani nawet siedzieć na dworze lub na ganku nie mogę, — a bezemnie i żona-przyczepa niełatwo do wychylenia za próg da się namówić. Trafiliśmy tu na mieszkanie bardzo porządne i dogodne dla zdrowych, — ale nieprzydatne dla charłaka, jak ja, — bo nietylko cień i cień wszędzie — cień i zmrok ciągły od mnóstwa nieczyszczonych dokoła drzew, — a ja za słońcem i suszą przepadam. Więc wyszedłszy na ganek kamienny i posiedziawszy kilka kwadransów w jego cieniu odwiecznym, wracam natychmiast z reumatyzmem do łóżka, więc zabawiwszy cokolwiek dłużej w chłodnym, jak piwnica, pokoju żony, uciekać muszę skostniały do siebie, a u mnie dzięki ścianie komunikującej z kuchnią, ścianie porysowanej od gorąca tysiącem szpar — dym i swąd, jakby od najgorszego zagaru w zimie. Tak na ganku reumatyzm, u żony jak w lodowni, u mnie katar i ból głowy od swądu, a na dworze słońce i pogoda jak w raju, — ale nie dla tych, co łazić nie są wstanie.

Siadam więc do tablicy i bazgrzę przy okazyi, — albo co jeszcze milsza — odbieram list z Wełdzirza i rozczytuję się w weselszych ztamtąd nowinach, o które słowem i przykładem niniejszym prosząc — przesyłamy Oboje Państwu serdeczne pozdrowienie.

Całemu też domowi najlepszego powodzenia w dnie pogodne i słotne. Państwu Edziom czuła reminiscencya dawnej przyjaźni. Załączonej tu kartce łaskawa pamięć i rychła dyspozycya w księgarni.

Twój kochany Karolu przyjaciel i sługa

Karol Szajnocha.

Zamiast kartki.

Proszę ile możności spiesznie — pocztą — Denkwürdigkeiten des Ritters von Leny. Braunschweig 1842. (Wiadomości o jednej z córek króla Jana III.).

XXIV.

18 maja 1861.

Kochany Karolu! Czy masz u siebie jaką niepotrzebną Ci nadal resztkę egzemplarzów I. tomu „Jadwigi“ na pośledniejszym papierze. Jeśli tak — będę niebawem prosił o zwrócenie mi onych, gdyż żąda ich odemnie Lewicki.

Jeśli nie masz, poradzę sobie inaczej. W każdym razie proszę o wyraźną odpowiedź.

Twój *Karol Sz.*

45 exempl. na poślednim papierze
62 „ „ lepszym „

XXV.

Sobota, 23 lutego.

Kochany Karolu! Przyjdzie mi wyprawić dwa transporty egzemplarzów do Warszawy i do Lublina — oba moim kosztem. Pytam więc. czy się możesz podjąć z łatwością tej expedycyi w krótkim ile możności czasie.

Kazał mi wprawdzie Lewicki połączyć tę expedycyę z expedycyą jego exemplarzów i oddać wszystko razem Milikowskiemu do wyprawienia, — ale ponieważ się obawiam, aby Lewicki lub jego wspólnik Dzwonkowski — według swego anonsu warszawskiego — nie kazali stronom płacić kosztów przesyłki. którą ja wziąłem na siebie, — wolałbym tę expedycyę dla uniknięcia nieporozumień uczynić inną drogą.

Zaczem bądź łaskaw odpowiedzieć. Załączam też do aprobaty anons, który chcę dziś jutro umieścić.

Twój *Karol Sz.*

XXVI.

29 lipca 1864.

Kochany Karolu! Około nowego r. 1861 zostało się u Ciebie 40 exempl. mojej „Jadwigi“ na pośledniejszym papierze: w maju r. 1862 wziąłeś w komis po 30 rab. 100 exempl. na papierze pię-

kniejszym: za co wszystko otrzymałem 14 grudnia r. z. 158 fl. 20 kr. z przyrzeczeniem dalszej należytości jeszcze w tym samym miesiącu grudniu. Nie doczekałem się ziszczenia Twego słowa, a cisną mnie zewsząd potrzeby, mianowicie potrzeba zaspokojenia Winiarza za druk kończącego się właśnie I. tomu moich „Dwóch lat".

Jestem więc zmuszony prosić Cię o rychłe i zupełne dotrzymanie Twojego słowa, a jeśliś exempl. mało sprzedał dotychczas, bądź łaskaw zwrócić mi niesprzedane, bo wolę mieć przynajmniej exemplarze, aby je lada żydowi sprzedać za bezcen, niż nie mieć ani exemplarzy, ani pieniędzy. Zaczem proszę po raz drugi o uwzględnienie mojej pilnej potrzeby, nie próżnem słowem, lecz czynem słuszności i uczciwości, gdyż bądź co bądź, nie myślę płacić za druk mojego dzieła ostatniego czem innem, jak należytością za przedostatnie. Bóg z Tobą kochany Karolu

Twój *Karol Sz.*

XXVII.

Lwów, 24 sierpnia 1864.

Po tem, co zaszło, trudno mi zacząć od „kochany Karolu". Po latach, ledwie-nie braterskiej przyjaźni, kończymy niestety wzajemnym ku sobie żalem.

Ciebie mój „przykry" — jak go nazwać miałeś — rozgniewał list, mnie podyktowało go gorzkie uczucie, którem mię obejście się Twoje ze mną przejęło. Mniejby obeszło mnie było powstrzymywanie mojej należytości, lubo w obec moich różnostronnych obowiązków rodzinnych nie podobna mi lekceważyć żadnego grosza: umiałbym znieść i wytłumaczyć sobie napróżno przez 9 miesięcy oczekiwane uiszczenie się Twoje z danego mi słowa dalszej wypłaty, gdyby nie coraz pewniejszem dostrzeganiem nabyte przekonanie, że jedynie fizyczną nieudolnością moją utrudniona możność upominania się osobiście dalszej należytości, pozbawiła mię tych korzyści, jakie moi zdrowsi koledzy bezpośrednimi staraniami u Ciebie tak szczęśliwie odnieśli. Rozżalony tem nielitościwem przeniesieniem przez Ciebie osobistych zabiegów nad pamięć dawnych przyjaznych związków, zgłosiłem się moim niemiłym Ci szczerością swoją listem, na który pospieszyłeś z odesłaniem mi exemplarzów, a nie pospieszyłeś z solennie mi przyrzeczonem oddaniem należytości, nie raczyłeś dopełnić nawet najpospolitszej

przyzwoitości, nie odpowiedziałeś mi ani listem, ani osobistem porozumieniem się ze mną, a wreszcie odbiegłszy moich żądań najsprawiedliwszych, jakiemś nieoznajmionem mi nawet, nic nie znaczącem poleceniem uspokojenia mnie, lada jaką drobnostką zbyłeś.

I tak to obchodzisz się z człowiekiem, który życzliwością swoją ku Tobie bywał nieraz tak użytecznym Twojej księgarni, pismami swojemi przyczynił się znacznie do rozszerzenia Twoich związków handlowych, a któremu teraz tak upornie zapracowanego grosza odmawiasz. Nim głos powszechny zajmie się rozsądzeniem tej sprawy pomiędzy nami, wysłuchaj raczej mojej nie groźby, lecz przyjacielskiej jak niegdyś prośby o słuszne, a nie trudne dla Ciebie załatwienie naszego niegodnego nas obu nieporozumienia. Nie trudne, powtarzam, i według moich najlepszych zawsze dla Ciebie chęci jak najdogodniejsze Twojej możności dzisiejszej, byleś mi dopomógł do opędzenia kosztów kończącego się właśnie druku pierwszej części dzieła mojego, a którą to wypłatę Winiarz zapewne dopiero w kilka tygodni upominać się będzie, żądając wówczas stosownie do małego nakładu, a nawet z pewnością 150 guldenów mniej, niż mi według ubocznych doniesień z księgarni należy się od Ciebie, bo nawet tyle nie miałeś dla mnie względności, żeby jeśli nie samem uiszczeniem się należytości, tedy przynajmniej liczbowem jej uspokoić mię oznaczeniem. Z tem wszystkiem, przy całej szorstkiej prawdomówności obydwóch moich listów, jakież wyrozumialsze, przyjaźniejsze stawić mogę warunki, które, jak wnosić słuszna, bez trudności przyjąwszy i rychło mnie o tem przyjęciu uwiadomiwszy, rzuć wraz ze mną w morze niepamięci ten niezdrowy kwas poróżnienia naszego i stańmy się znowu, jak i ja Tobie życzliwym przyjacielem, czego najszczerzej pragnąc, kończę usilnem życzeniem powrotu dawnych uczuć, szacunku i przywiązania.

Karol Szajnocha.

(Na odwrocie dopis Karola Wilda):

Spór ten, mojem milczeniem wywołany, w najgodziwszy sposób zupełnie załatwiliśmy. Przyznałem się do winy, wytłumaczyłem po części kilku słowy, przyjąłem wypłatę 592 guld., Winiarzowi w ciągu następujących kilku miesięcy uskutecznić się mającą i zgoda powróciła, za co chwała niech będzie Bogu, bo zły koniec byłby bolał po za grób.

XXVIII.

Lwów, 24 października 1864.

Kochany Karolu! Czy wiesz o jakiej urazie Szujskiego do mnie? Dnia 21 sierpnia wyprawiłem do niego siedmioćwiartkowy w odpisie żoninym list, który według listowego upewnienia doręczył mu własnoręcznie Friedmann dnia 15 września w Krakowie. List takiej objętości, z takim mozołem opracowany, przez kobietę skreślony, zasługiwał przecież na jaką taką odpowiedź, której nie otrzymałem do dziś.

Po długiem suszeniu głowy nad zrozumieniem tej (najłagodniejszym wyrazem) niegrzeczności, wpadłem na nieprzewidziany nigdy, a nawet dziś jeszcze nieprawdopodobny mi domysł, że listowa recenzya moja tylko jakiemś fałszywie upatrzonym sprzeciwieniem się pochwalnemu artykułowi Szujskiego o Księdze pamiętniczej mogła zdawać się obrażającą.

Fałszywe upatrzenie, powtarzam, — gdyż pochwalny artykuł Szujskiego podnosi jedynie treściową wartość Księgi, nie chcąc uwzględnić jej niekrytycznego wydania: listowa krytyka moja bije głównie w bajeczną niekrytyczność wydania, treściowej wartości dzieła najzupełniejszą oddając sprawiedliwość, — lubo w własnych oczach Szujskiego byłaby ta treściowa wartość znacznie upadła, gdyby był wiedział, iż z 98-miu materyałów historycznych w pierwszej większej połowie Księgi, o przeszło 400-tu stronach, 54 znane są od lat 25 z dwóch różnych wydań kijowskich.

Nie ubliżyłem więc połowicznej wartości treści, ani pochwalonemu artykułowi Szujskiego; owszem, przesłanie mu mojej recenzyi przekonać może każdego, iż w żaden sposób nie mógłbym obsyłać przyjaciela rzeczą mu zdrożną, obrażającą go, przypuszczając przeciwnie możność spokojnego istnienia obok siebie mojej nagany i pochwały Szujskiego.

Toż jak on nie zaszkodził sobie w opinii literackiej wydrukowaniem swojej pochwalnej recenzyi treści, tak i ja wzgardzeniem mojej nagany wydania przez Szujskiego wszelką wolność postąpienia z nią jak mi się tylko podoba odzyskawszy, zamierzam podać ją do wiadomości publicznej, jeśli nie proponowanem Szujskiemu koleżeńskiem porozumieniem się z Towarzystwem naukowem o nowe, poprawniejsze wydanie najmylniejszych arkuszów, tedy drogę wydania drukiem mając sobie za święty obowiązek literacki nie pozostawiać takiej plamy w spokojnem zaszpecaniu naukowej oświaty naszej.

Piszę o tem do Ciebie, jako do wspólnego nam obu przyjaciela, tem mniej jednak o obieraniu Cię za pośrednika w tej sprawie, myśląc, iż ostatecznie nie wiem z pewnością, czy ta uraza, czy co innego przyczyną jest odmówienia mi odpowiedzi. Od Ciebie nie oczekuję jej na list niniejszy, jak zawsze życzliwy Ci kochany Karolu

Karol Szajnocha.

Po staremu — cedułа. Czemuż też z własnego upoważnienia nie poprawiłeś w ostatnim zeszycie Dziejów Szujskiego ku własnemu pożytkowi autora wyrażeń, jak n. p.: na str. 299 „trzasnąwszy drzwiami, opuścił radę" (jakby królowie sami zamykali za sobą drzwi), — str. 301 i 302 „rozprawiano wiele o stosunku obu ciał senatu i izby rycerskiej" (zamiast: obu stanów senatorskiego i rycerskiego; szlachcic, posłujący na Sejm, byłby się przeżegnał, usłyszawszy, iż był członkiem ciała rycerskiego).

XXIX.

Lwów, 5 listopada 1864.

Kochany Karolu! Kończącego się tomu I-go domaga się cała siłą do oprawy Jaśkiewicz i w przyszłym tygodniu brać chce częściami arkusze wydrukowane.

Nie wiem, czyś mówił z Winiarzem o naszym układzie wypłacania druku przez Ciebie, a przykroby mi było, gdyby Jaśkiewicz, przyszedłszy z kartką odemnie, miał odejść z niczem.

Bądź więc łaskaw zapobiedz nieporozumieniu jakiemu i przyjm jak zawsze zapewnienie szacunku i przyjaźni

Karol Szajnocha.

XXX.

Lwów, 9 grudnia 1864.

Kochany Karolu! Muszę odstąpić od wydania razem obu tomów moich „Dwóch lat". Stanowią one tak różne dwie całości, sprawiłyby wydane razem tak prawie sprzeczne wrażenie na czytelnikach, iż jedna drugiej mogłaby tem wielce zaszkodzić. Do tego wydaniem tak zwanej „Księgi Michałowskiego" przybyło drugiemu tomowi tyle bajecznie, wprawdzie spaczonych, ale nie całkiem nieprzydatnych tem źródeł, iż cały skończony już drugi tom

wymaga jeśli nie zmian treści i poglądów na rzecz, tedy nadzwyczajnie wielu uzupełnień i wyjaśnień szczegółów, czemu nie mógłbym wydołać nieprzerwanemu dostarczaniu nowej, ledwie nie zupełnego opracowania wymagającej edycyi, rękopisu drugiego tomu w tej chwili. Dlatego odraczam rozpoczęcie druku tego tomu do trzech miesięcy, a I-szy tom wydaje teraz osobno, po ukończeniu ostatnich jeszcze zachodów z okładką i oprawą.

Wydając go własnym nakładem, w 450 exemplarzach, bo reszta 50 pójdzie na exemplarze urzędom należące, darem rozdane i nieodzownie zdefektowane, nie umiem sobie poradzić z jego sprzedażą — i udaję się z tem do Twojej łaskawej i doświadczonej porady. Tak małą liczbę exemplarzy nie mógłbym zbyć inaczej, jak za gotówkę, rozumie się z rabatem, zajęcie się jednak sprzedażą jest w mojej dzisiejszej nieudolności zupełnem dla mnie niepodobieństwem.

Stąd, jeszcze raz proszę, udzielić mi Twojej rady i przyjąć najserdeczniejsze jak zawsze pozdrowienia, szacunku i przyjaźni

Karol Szajnocha.

XXXI.

Lwów, poniedziałek, 1864.

Kochany Karolu! Mając za powrotem z Bolechowa zgłosić się listem do Szujskiego, w Bardijowie zapewne wówczas, nadmieniłeś o chęci zapytania go w nim, czy mój list, właściwie rozprawa moja, przesłana lub oddana mu została przez Friedleina, czy nie.

Nie wiem dotąd o skutku zamierzonego przez Ciebie zapytania, a że mi chodzić musi o los kilkutygodniowej pracy mojej, a nawet i żoninej, gdyż podobało się jej do trzech arkuszy druku z pomazanego odpisać manuskryptu, — więc pragnę wiadomości o moim liście, w czem proszę oświecić mię łaskawie wskazaniem miejsca pobytu i adresu Szujskiego. Chciej też, kochany Karolu, jeśli znajduje się coś podobnego w Księgarni, pozwolić mi do przejrzenia na kilka godzin, podając cenę, — im obszerniejszy, tem lepszy słownik polski z jakimkolwiek innym językiem.

Co oboje Twoim dobrym chęciom zlecając, żegnam Cię po dawnemu najszczerszym wyrazem szacunku i przyjaźni

Karol Szajnocha.

XXXII.

Niedziela, 8 stycznia 1865.

Kochany Karolu! Krzyczą na mnie za dopuszczenie ogłoszeń cudzych dzieł na okładkach dzieła, moim własnym nakładem wydanego. Pozwalają jedynie na ogłoszenie własnych pism moich, a ja ze swojej strony sprzeciwiam się jak najmocniej umieszczeniu Buckla „Historyi cywilizacyi“ na okładce moich „Dwóch lat“. Toć twierdzenie jego w rozdziele 6-tym, że „Jedną z przyczyn błędów w historyi było wynalezienie pisma“, jako obalające wszelkie podania, wszelką tradycyę, tę najskuteczniejszą zachowawczynię i szerzycielkę prawdy dziejowej, — twierdzenie to jest najdziwaczniejszą protestacyą przeciw zdrowemu rozumowi.

Mojem zdaniem wynalezienie pisma, a w wyższym stopniu i druku, jest tem dla oświaty ludzkości, czem zaprowadzenie religii chrześcijańskiej dla uczuć i potrzeb serca ludzkiego.

Czyż Ciebie, jako księgarza, nie zraziła taka aberacya umysłowa w tem dziele, cała jego wartość podkopująca? Czyż (do innego przechodząc zapytania) nie ostudzi Twojej chęci wydania mojego Przeglądu krytycznego „Księgi Michałowskiego“ ta okoliczność, że na tytule tej broszury nie znajdzie się moje nazwisko? Lubo w całym Przeglądzie pełno skazówek mojego pióra i mojej osobistości. Nie chciałem przecież nazwiskiem mojem razić poczciwych ludzi.

Kończę jak zawsze wyrazem przyjaźni i szacunku

K. Szajnocha.

Władzio za ksiażkę od „przyjaciela swojego ojca“, ojciec za „Historyę oświaty“ Buckla najserdeczniej dziękują.

Władzio i K. Sz.

XXXIII.

Lwów, 16 stycznia 1865.

Kochany Karolu! Piszę z powodu odpowiedzi Gebethnerowi, którą już wczoraj byłbym wyprawił, gdybym pierwej nie musiał porozumieć się względem niej z Tobą. Po sprzedaniu przez Lewickiego około 400 komisowych exemplarzów „Jadwigi“, pozostało Gebethnerowi tylko około 100 do odebrania od Lewickiego w komis na moje imię, w którym to razie nie byłby prawdopodobnie

od tego. aby na wiadomość o wyjściu I-go tomu moich „Dwóch lat“ nie zażądał odemnie znaczniejszej ilosci exemplarzów czyto w komis, czy inną drogą nabycia.

Przy naszym ustnym niczem stanowczo nie wspartym układzie o I-szy tom, interes z Gebethnerem nie stawi niespodziewanych, zbyt wielkich przeszkód, a bezprzykładny zawód ze strony Lewickiego uczynił mię nieśmiertelnym nieprzyjacielem układów niestanowczych, oddających (jak w razie obecnym) cały nakład na poczekaniu w nieograniczoną moc ich nabywców.

Jeśli więc nie masz ochoty przypuszczać Gebethnera do interesu, jeśli nie życzysz mi losu, doznanego od Lewickiego, tedy zgódź się na układ dla mnie pewniejszy, układ odbierania exemplarzów częściowo, po 50 i więcej, bez wypłat z góry, lecz przy każdem nowem żądaniu exemplarzów, — za co obowiązałbym się nie sprzedawać ich nikomu oprócz Ciebie. (Karol nie kontent z wyrazu Ciebie, każe pisać „prócz Tobie“).

Tylko na taki układ przystać mogę, a że jeszcze dziś po południu chciałbym wysłać odpowiedź, gdyż chodzi o pośpiech w sprawie z Lewickim, przeto bądź łaskaw odpowiedzieć do trzeciej, czwartej godziny.

Zawsze z tą samą przyjaźnią i życzliwością

Karol Szajnocha.

XXXIV.

Poniedziałek, 23 stycznia 1865.

Kochany Karolu! Posyłam Ci, nie wiem z pewnością. czy większą. czy mniejszą połowę mego Przeglądu krytycznego. Uczyni on w każdym razie do 3 arkuszy druku, a może mniej. nigdy więcej.

Rób z nim, co chcesz: drukuj, ile Ci się podoba exemplarzy; bierz za mnie, ile osądzisz. Drugą połowę przyślę zapewne z końcem tygodnia. Do korekty najprzydatniejszy Łoziński. Za Przegląd przyszlij mi, jesli Winiarz Ci dał, kosztorys druku I-go tomu. aby wiedzieć. ile przyjdzie dopłacić za druk drugiego.

Twój zawsze życzliwy Ci kochany Karolu

Karol Szajnocha.

XXXV.

Sobota, 28 stycznia 1865.

Kochany Karolu! Przy dzisiejszem widzeniu się z Tobą zapomniałem wspomnieć Ci o pewnej okoliczności, dotyczącej artykułu zastępczego za szkic „Król Jan Pielgrzymem“. Załączony tu artykuł zastępczy, wydrukowany w jednym z niedawnych dzienników lwowskich, jak mi się zdaje, w „Dzienniku Polskim“, sprawiłby bez wątpienia trudności w cenzurze warszawskiej i innych w kraju zabranym. Dla przekonania się o tem posyłam Ci druk tej rozprawki; która w razie niestosowności może zastąpioną być inną, lubo z gotowych i drukowanych już szkiców, nie umieszczonych jednak w dotychczasowych trzech tomach, każdy dla swojej obszerności niestosownem jest zastąpieniem 4-ro kartkowego artykułu o Królu Janie.

Twój zawsze życzliwy Ci

Karol Szajnocha

Cedułа (tak po staremu nazywano P. S.).

Niedziela, 29 stycznia.

Znalazło się zastąpienie drugiej części dawnego szkicu o Sobieskim banicie i pielgrzymie, znalazła się „Druga bannicya“, znacznie różna i obszerniejsza od dawnej, a cały nowy szkic może otrzymać nadpis „Dwie bannicye przyszłego króla“, albo „Z dwukrotnego banity król“, albo inaczej. Objaśnienie przyczyny zastąpienia drugiej części szkicu w pierwszem wydaniu inną drugą, co niniejszem zajmie stron kilkanaście, należy bowiem wytłumaczyć się szczegółowo z najzłudniejszej tożsamości listu marszałka w. koronnego z roku 1667 z listem marszałka w. koronnego z r. 1687. Zrobi się z tego szkic nowy, ostatni, który urwie kilkanaście dni drugiemu „Dwóch lat“ tomowi, lecz stanie się zadość obowiązkowi, własnemu upodobaniu i czytelnikom.

Twój *K. S.*

Dopisek. W naszej ugodzie o „Dwa lata“ umowiono, że żadne dalsze exemplarze nie mają być wydane księgarni Twojej, jeśli poprzednie niezapłacone zostaną. Ponieważ Gebethner, żąda-

jąc 100 exemplarzy „Dwóch lat“, za które, jak słyszałem, przysłał pieniądze, więc nie godzi mi się wydawać exemplarze dla niego inaczej, jak z jednoczesną wypłatą nadesłanej od Gebethnera należytości za 100 exemplarzy I-go tomu.

K. Sz.

STANISŁAW WASYLEWSKI.

(Dokończenie nastąpi).

Pierwowzór „Nadobnej Paskwaliny".

(Dokończenie).

III.

Paskwalina, przybywszy do Minerwinej wieszczki, przedstawia jej swą sprawę i przytem zalewa się łzami, „których jedna — kropla druga sameby Acherunty ze dna — i od słońca Syrene (?) twardo upaloną — zmiękczyć mogła" (str. 39 fin.). Pierwszy obraz pochodzi z Wergiliusza Eneidy (7, 312), gdzie Juno, rozgniewana odpłynięciem Trojan z Sycylii, grozi im swą zemstą i zapewnia: „flectere si nequeo Superos — Acheronta movebo". Sereny, twardo upalonej od słońca, mitologia nie zna; natomiast geografia zna miasto Syene na pograniczu Egiptu i Etyopii, miasto, w którem według Pliniusza (n. h. 2, 73) podczas przesilenia wiosennego w południe przedmioty nie mają cienia, bo słońce wtedy znajduje się prostopadle nad tą miejscowością. Wobec takiego położenia Syene słynie z upałów (calida. Ovid. ex Ponto 1, 5, 79) i ją właśnie ma na myśli Twardowski, gdy mówi, że Paskwalina łzami mogłaby zmiękczyć Acheron i od słońca twardo upaloną Syenę. Jeśli tu mamy do czynienia z błędem drukarskim[1]), to za potknięcie się autora trzeba uznać słowa Felicyi (str. 41) o rozumie, który bo-

[1]) powtarzającym się jeszcze na str. 59: „Co kiedy mówiła — jako perły wschodowe z oczu łzy toczyła — albo gdy na Meröi deszcz kroplisty zrosi — upaloną Syrene." Meroe, to wyspa w ramionach górnego brzegu Nilu, w pobliżu której leży Syene.

gowie dali ludziom, „żeby tym kierował — bystrym Bellerofonem“. Bellerofonta znał Twardowski, choćby z Horacego Carm. (3, 12, 7), jako poskromiciela i jeźdźca Pegaza, na którym pojechał powietrzem zabić Chimerę: Otóż rozum ma tak kierować namiętnościami, jak Bellerofon bystrym — Pegazem... O tym micie wspomina Felicya zaraz potem (str. 42): „Ty z tego zarazem — podchlebstwa niewątpliwie, jakobyś Pegazem — najbystrszym podniesiona tak rozbujała...“

Niechęć Minerwy do Wenery motywuje kapłanka (str. 43) wynikiem sądu Parysa, co jest zupełnie zrozumiałe, i urazą „o swe rozgromione — towarzyszki na Etnie, kędy przez jej (t. j. Wenery) syna — porwana na ognistym wozie Prozerpina — przepadła do Erebu“. Wiadomo (z Owid. Met., 5. 346 i n.), że Prozerpinę, córkę Cerery, porwał z pod Etny Pluto, zraniony strzałą Amora, a przytem rozgromił, czy strachem rozpędził towarzyszki Prozerpiny. Minerwy ta historya w niczem nie dotyczy. Więc kapłanka skonfundowała tu Minerwę z — Cererą. Junona ma jej zdaniem (str. 44) pretensye do Wenery o to, że „Jowisz z natury swojej bardzo gamratliwy — za jej sprawą abo się przymknie do Alkmeny — i tam trzy dni, trzy nocy morduje swe weny — nad dużym Herkulesem, abo do Thetydy, — abo Ledy i wszytkie przechodząc niewstydy — w byku do Pazyfai“. Katalog erotycznych przemian Jowisza był zawsze na ustach wszystkich, którzy kiedykolwiek zwalczali niemoralność klasycznej mitologii. Twardowski, opuściwszy wypadek złotego deszczu i Danai, wspomina tylko o znanej awanturze z Alkmeną i Ledą, a od siebie dodaje dwie inne, polegające na nieporozumieniu. Jowisz wprawdzie zakochał się w Tetydzie, ale przestraszony wyrocznią Proteusa, że Tetyda porodzi syna, który przewyższy czynami ojca i będzie większy od niego, odstąpił ją Peleusowi (Owid. Met., 11, 224 i n.). A już z Pazyfają nic nie miał wspólnego, a w postaci byka zbliżył się do Europy. Otóż o tem tak opowiada Owidyuszowa Fedra (Her., 4, 55): „Iuppiter Europen (primast ea gentis origo) — dilexit, tauro dissimulante deum; — Pasiphae mater, decepto subdita tauro, — enixast utero crimen onusque suo.“ Fedra ma na myśli dwie różne historye, dotyczące swych antenatek; Twardowski utożsamił byka pierwszej historyi z bykiem Pasifai i — konfuzya gotowa. Z miłostek samej Wenery wymienia kapłanka (str. 45) jej przekradanie się od Wulkana, „gdy lada napada — dzieciucha Adonina“. O tem szeroko opowiada Owidyusz (Met. 10, 529 i n.). Początek tej miłości Wenery do Adonosa był według Owidyusza taki,

że gdy Amor całował matkę, nieumyślnie zadrasnął jej pierś wystającą strzałą (j. w., w. 525). Z tego Twardowski wywiódł oskarżenie, że Wenus „nawet z własnym synem — miewa sprawę...“ Do pokonania Wenery nie ma Paskwalina używać żadnego innego oręża, prócz broni przyrodzonej (str. 46). „bo żadne owe — zamierzone w Liparze razy Thyfeowe — temu nic nie nadziały“. Gigant Typhoeus przywalony leżał przez Jowisza Sycylią i broni żadnej już nie kuł. Wergiliusz (Aen., 1., 665) mówi o tela Typhoëa Jowisza, pociskach, których nie boi się Amor. Tą to pioruny, którymi Jowisz pozabijał Gigantów. Wspomnienie Lipary dowodzi, że Twardowski miał na myśli kuźnię Wulkana, który z pomocą etnejskich Cyklopów kuł gromy Jowisza i ukuł także zbroję Eneaszowi (Verg. Aen., 8, 416 i n.). Więc „zamierzone w Liparze razy Thyfeowe“, są to kute na Liparze przez Wulkana pioruny, którymi niegdyś Jowisz zadał raz i cios Typhoeusowi. — Z świątyni Minerwy odchodzi Paskwalina w obłoku (str. 47), jak Eneasz (Aen., 1, 580).

Omówione motywy mitologiczne i reminiscencye z poezyi klasycznej, głównie z Owidyusza, Wergiliusza i Horacyusza, służyły Twardowskiemu dotąd tylko do rozszerzenia Apulejuszowego wątku baśni o Psysze. Inaczej jest w pieśni drugiej, gdzie ów wątek znika, a Twardowski konstruuje fabułę ze samych reminiscencyi innych źródeł. Już R. Pilat[1]) dowiódł, że pierwszy popas Paskwaliny u starego rybaka jest reminiscencyą epizodu Tassowego Goffreda (pieśń VII.) w przekładzie P. Kochanowskiego. Sam pomysł mogło Twardowskiemu nasunąć nawet Owidyuszowe opowiadanie o noclegu bogów u Filemona i Baucydy (Met., 8, 626 i n.), skombinowane z Wergiliuszowym epizodem o wylądowaniu Eneasza w kraju Cyklopów (Aen., 3, 570 i n.). W wątek Tassa wplótł Twardowski dzieje przebywającej w gościnie u rybaka nimfy Symplegady. Symplegadami nazywały się dwie skaliste wysepki przy ujściu trackiego Bosforu do Pontu, wysepki, które aż do wyprawy Argonautów miały się poruszać i miażdżyć tych, co między nie wjechali. Ponieważ zwano te także Cyaneae insulae, Twardowski połączył ich nazwę ze znaną z Owidyusza (Met., 5, 409 i n.) nimfą Cyane, która nie mogąc przeszkodzić porwaniu Prozerpiny przez Plutona, z żalu rozpłynęła się w sycylijskie źródło. Otóż siostrą tej Owidyuszowej Cyane uczynił Twardowski swą Symplegadę, włożył w jej usta opowiadania Owidyusza o porwaniu Prozerpiny (str. 54) i dodał wymysł, że po rozpłynięciu się Cyany

[1]) „Historya literatury polskiej“, III., 1911, str. 135.

w jezioro. Symplegada, „żeby jej czyste panieństwo opłakała — zabiegła w te knieje, — aż ją ulitowane do swego Napeje (t. j. Nimfy źródlane) — towarzystwa przyjęły“. Jeśli za tą nową Nimfą ugania się zakochany Cyklop, to naśladuje w tem Teokrytowego (id. 11) Cyklopa, zabiegającego o wdzięki Galatei. Cyklopa owego, „gdy wybił — wszystkie insze Juppiter, nie wiem jako chybił — w scyrońskim gdzieś przełomie“. Mniejsza o pomieszanie wybitych przez Jowisza Gigantów z Cyklopami: nie obce ono i mitografom starożytnym. Ale trudno dojść, jak Twardowski wpadł na lokalizowanie porażki Cyklopów „w scyrońskim gdzieś przełomie“, więc chyba na Scyros, jednej z Cyklad. Pospolicie pola flegrejskie uchodziły za teren pogromu Gigantów.

Od rybaka wędruje Paskwalina do pasterzy, u których poznaje cnotliwe życie na łonie natury, wolne od pokus wielkomiejskich. Pomysł do tego epizodu nasunęła mu może sławna nowela Diona Chryzostoma p. t.: Εὐβοϊκὸς (sc. λόγος) ἢ Κυνηγός, wcześnie tłumaczona na łacinę. Opowiada w niej filozoficzny retor z czasów cesarza Trajana, jak raz, rozbiwszy się z okrętem u brzegów Eubei, został gościnnie przyjęty przez jakiegoś myśliwego. Po skromnej biesiadzie w jego chacie poznał całą rodzinę, między innymi brata gospodarza, którego syn zaślubia swoją kuzynkę: „Musiałem tych ludzi sławić jako szczęśliwych — kończy Dio swe opowiadanie, — a ich życie uważać za najszczęśliwsze ze wszystkich ludzi, których znałem“. Wpływem tego opowiadania tłumaczyłby się u Twardowskiego ten szczegół, że jego pasterze ciągle — polują: „Żadna godzina miniona — żaden moment, kiedyby nie mieliśmy się tu — ze lwy, wilki pocierać, ani dawać wstrętu — potężnym ich napaściom“ (str. 57). Mimo swego życia, pełnego niebezpieczeństw, pasterze owi odznaczają się wielką — galanteryą, jak widać z przemówienia jednego z nich, Dantheo: „Nie bój się... nie bój, piękna Dziewico! Ludzki-li cię zdoła — głos wymówić? Lubo ty śmiertelnym stworzeniem — lubo jesteś Boginią! Bo jeśli pojźrzeniem — pierwszym się swym nie mylę, nadludzkiego w tobie — coś być musi...“ Są to komplimenty, którymi Odysseus witał Nauzykaę (Od., 6. 149 i n.). Ci eleganccy pasterze są też bardzo wrażliwi na opowiadanie o nieszczęściach Paskwaliny (str. 60): „Jakoż z skały twardej — byłby wierzę, abo się między lwy i pardy — gdzie uchował, kogoby żałosna ta cera — twoja nie poruszyła.“ Zwrot to klasyczny, znany choćby z wyrzutu Dydony, skierowanego do Eneasza (Aen., 4. 366): „duris genuit te cautibus horrens — Caucasus, Hyrcanaeque admorunt ubera tigres“.

Pasterze zdołali się bronić przed dzikiemi zwierzętami tylko dzięki nieznajomemu młodzieńcowi, który niechybnemi strzałami raził lwy i niedźwiedzie (str. 61). Paskwalina przekonała się potem, że to Apollo. Ta koncepcya Apollina, jako wielkiego myśliwego, a zarazem opiekuna pasterzy, opiera się na micie o zgładzeniu przezeń potwornego Pytona i na jego przydomkach Nomius i Agreus, nadanych mu z powodu pasania bydła u Admeta. Idąc za temi podnietami, uczynił Twardowski z Apollina myśliwego w rodzaju Owidyuszowego Akteona (Met., 3. 143 i n.), lub Cefalusa (Met., 7, 672 i n.), stwarzając w ten sposób nieklasyczny odpowiednik do łowczyni Dyany.

Paskwalina spotyka się z nim pierwszy raz wobec ogromnego lwa, który już już miał ją pożreć, gdy padł ugodzony strzałą nieznanego młodzieńca (str. 64). Młodzieniec nie przyjmuje podziękowań ocalonej i oświadcza (str. 65): „Gdyż się ja tym dziełem — tu zabawiam, skąd smoka Pitona ubi(e)łem — przed laty w Tessaliej, jeśli i ty o tym — wiedzieć możesz, abolić zdarzy się na potym — słyszeć o Apollinie.“ Wysłuchawszy historyi Paskwaliny, zaprasza ją na nocleg do swego domu, ozdobionego w sieni głowami i skórami pardów, lwów, niedźwiedzi, zwierzyny przez niego ubitej. „Między tym postrzeże — scierwu Pitonowego, który jako drugi — pod Ethną Encelladus, tak wielki i długi — rozwlekł ogon, że na puł zastąpił nim mile: — jeszcze z paszcze ziewały pożartych mu tyle — miast i całych prowincyi: jeszcze tchnął płomienie — i krew z garła wyrzucał.“ Jakich rozmiarów musiał być ów „przysionek“ „domeczku“ Apollinowego, by pomieście tak ogromnego potwora i jaki w nim panował porządek, skoro smok wyrzucał z gardła krew pożartych mieszkańców miast, ba, całych prowincyj, a nadto buchał ogniem, jak wulkan, jak Encelladus, leżący pod Etną (Verg. Aen., 3. 578 i n.), tego kompilatorska fantazya Twardowskiego nie maluje. Sam pokój „od drogich kamieni — szczero i chryzolitów dziwnie kosztowny“, przypomina pałac Słońca (Owid. Met., 2. 1 i n.). Jako bóg zdrowia i lecznictwa ma Apollo w złotych puszkach, umieszczonych w jaspisowej szafie, zioła lekarskie, „które z czarnej gdzieś Afryki — i świeżo znalezionej wożą Ameryki“ (str. 67). W głowach łoża wisi tracki łuk z strzałami Cydonowemi, które „Brontes sam — hartowali piorunem“. Cydoński, to kretejski, a że na Krecie rosła doskonała trzcina, sławne były strzały kretejskie, o których wspomina n. p. Verg. Ecl. 10, 59 (Cydonia spicula). Brontes, to Cyklop, pomocnik Wulkana, który dla Jowisza sporządzał gromy wraz z Steropesem

i Pyrakmonem (Verg. Aen., 8, 424). Twardowski wszystkich trzech Cyklopów nazywa Brontes (chyba zamiast Brontae). Ponieważ Apollo nie zawsze strzela i czasem łuk z lutnią podziela, na srebrnym stoliku przy drugiej ścianie leżała lutnia i kilka — ksiąg niebieskich w kosztownej oprawie. Przy drzwiach znajdowała się szmaragdowa miednica z nalewką (t. j. dzbankiem) i takimiż lichtarzami.

Uraczona polędwicą jelenią i wodą Paskwalina, pyta gospodarza o — godność, a ten jej opowiada (str. 68), że z natury jest urodzonym bogiem, ale teraz jest także uczestnikiem natury śmiertelnej, odkąd bogowie, obrażeni kradzieżą Prometejską, kazali mu zostawić w Olimpie bóstwo przyczajone i zstąpić na ziemię w ludzkie ciało, by „bogi urażone jednać z ludźmi“. Tę prefiguracyę roli Zbawiciela[1]) nazywa Apollo sekretami, niepojętymi Paskwalinie i łącznie ze swą misyą wspomina, jak przez dziewięć lat pasł owce u Admeta (por. n. p. Prop. Eleg.), a potem według Owidyusza (Met., 1, 434 i n.) opowiada o zabiciu Pytona. U Owidyusza (Met., 1, 454 i n.) czytamy, że Apollo, pyszny z zabicia smoka, naśmiewał się z łucznika Amora, niezdolnego do polowania na dzikie zwierzęta, tem mniej na Pytona. Obrażony Amor zranił go strzałą i obudził w nim niewzajemną miłość do Nimfy Dafne. To i dalsze opowiadanie Owidyusza streszcza u Twardowskiego Apollo (str. 69 i n.). W zakończeniu: „Jeszcze serce skakało pod skórą chropawą, — gdym je (t. j. drzewo) szczupło obłapił“ zbliża się do oryginału (w. 554): „sentit adhuc trepidare novo sub cortice pectus, — complexusque suis ramos, ut membra, lacertis — oscula dat ligno“. Do Owidyuszowych słów: „arbor eris certe... mea“ dodaje Twardowski: „Jako Jowiszowi — dąb święty na Dodonie, kupres Plutonowi — i Minerwie oliwa: takem i ja bobek — obrał sobie“. Dalsze słowa Owidyusza o tem, jak laur zdobić będzie tryumfatorów, jadących na Kapitol, rozszerzył Twardowski i dodał wzmiankę o grach (= igrzyskach) teatrach i poetach, których nazwał zwyczajem starożytnym mądrymi (docti), przyczem może miał przed oczyma Hor. C., 1, 1, 29 (doctarum praemia frontium) i C., 3, 30, 15 (et mihi Delphica — lauro cinge volens, Melpomene, comam).

[1]) Allegoryczne objaśnienie mytów mógł znaleźć Twardowski choćby w popularnem dziele: „Natalis Comitis mythologiae sive explicationum fabularum libri X., in quibus omnia prope naturalis et moralis philosophiae dogmata sub antiquorum fabulis contenta fuisse demonstratur.

Apollo, który zrazu występował jako jakiś klasyczny Salwator Mundi i Mediator, z czem zgadzać się miała jego służba u Admeta i zabicie smoka, przemienił się nagle w sentymentalnego kochanka, który zamieszkał pod ukochanym — drzewem. „żebym mógł codzień patrzeć na nie — ani co ich tak wiele pod jego kochanej — chłód się ciśnie. bestyjej ktorej rozigranej — dał go zębem obrazić". Tak raz łukiem się bawi. raz lutnią i śpiewaniem [1]), a przed oczyma stawia sobie zawsze Dafnę jedyną. Dla usprawiedliwienia przytacza, że to Wenus sobie stroiła z niego takie igrzysko i dodaje: „Jako więcej ciebie (t. j. Paskwalinę) uwieść mogła... przetoż i tobie nie dziwuję. żeś w tej trosce". Radę na to utrapienie da jej dopiero wieszczka Minerwina. do której bliższą drogę wskaże jej Dyana.

Pierwsze spotkanie z Dyaną (str. 73) odbywa się wśród okoliczności, odmalowanych przez Owidyusza (Met.. 3, 155 i n.). Dyana używa po łowach kąpieli. Dowiedziawszy się, że Paskwalina przychodzi z jakiemś zleceniem od Apollina. „gdzie dziś nocowała". żartuje. „że Apollo, który — po wdzięcznej swej Dafnidzie białejgłowy wtórej — znać już nie miał, a nawet i śmiać się na wieki. — tej dał nocleg u siebie" (str. 74). Sam autor zaznacza. że to jest „koncept daleki". Mimo to wolał dopuścić się uchyby przeciw charakterowi czystej i wstydliwej Dyany, niż go pominąć. Dyana zaprasza do siebie przybyłą, ugaszcza ją skromnie, a przy poczęstunku wspomina o ukaraniu Akteona (Owid. Met.. 3. 174 i n.). Paskwalina uważa ową karę za niesprawiedliwą. jeżeli Akteon przypadkiem przejeżdżał nad ową rzeką i mimowoli ją ujrzał. Dyana jej tłumaczy, że ślubowawszy czystość, musiała się zabezpieczyć, by Akteon nie zechciał „sam się. jako człowiek młody. — przed drugimi pochwalić, że w rąbku tej wody — nagość moją oglądał". Rozniosłyby to zaraz języki. Ta ostrożność opiera się na słowach Dyany u Owidyusza (3, 192): „Nunc tibi me posito visam velamine narres, — si poteris narrare licet".

Plotka Akteona ucieszyłaby najbardziej Wenerę. która „i już swego Kupida rzucała mi z łona — już na łące ślicznego śpiąc Endymiona — pokładała umyślnie". Znanej historyi z Endymionem dotyka Owidyusz (n. p. Heroid.. XVII., 63): motyw Kupida, rzucanego z łona Wenery na łono Dyany. jest naśladowaniem Wergiliusza (Aen., I., 657. 715). gdzie Wenus posyła na łono

---

[1]) Por. Hor. C., 2, 10, 18: „quondam cithara tacentem — suscitat Musam neque semper arcum — tendit Apollo.

Dydony Amora w postaci syna Eneaszowego, Askaniusza. Od takich pokus obronił Dyanę rozum (str. 75). Rozum i wola do dobrego pozwalają i człowiekowi „być i dobrym, gdy zechce. Jako Aryadnie — abo kiedy Danai cóżby zawadziło — w takiej twierdzy, gdyby jej było nic nie miło — wdać się w śmieszki z Akryzym“. O Aryadnie i jej nieopatrznej miłości do Tezeusza pisze obszernie Owidyusz (Heroid., 10): o Danai wspomina Twardowski na podstawie Horacyusza (Carm. 3, 16), jak tego dowodzi ciemny zwrot o „wdaniu się w śmieszki z Akryzym“, odpowiadający słowom Horacyusza (w. 5 n.): „si non Acrisium — Iuppiter et Venus — risissent“. Ofiarom Wenery przeciwstawia Twardowski niedostępne dla jej pokus Amazonki, zwłaszcza Pentesileę, może na podstawie Verg. Aen., 1. 491 i nn. Wymysły o romansie Pentesilei z Achillesem czy Rhezosem pochodzą dopiero od nowszych poetów (n. p. Kleist, Wyspiański).

Od Owidyuszowego przedstawienia porwania Prozerpiny przez Plutona (Met., 5, 346 i n.), wspomnianego już przez Twardowskiego Cyane (str. 54), znacznie różni się powtórne, obszerniejsze opowiadanie Dyany o tym samym wypadku (str. 80 i n.): Aby je móc wprowadzić, stwarza Twardowski fikcyę, że przed oczyma Dyany zielenieje Etna i jej widok przypomina bogini strach, którego „niewinnie nabrała“ przy porwaniu Prozerpiny. To porwanie było (zgodnie z Owidyuszem) dziełem Wenery i jej syna, ale Wenus działała tylko „kwoli Jowiszowi“. Ten bowiem, będąc sam żonaty, podobnie jak Neptunus (z Tetydą), Saturnus (z Reą), Wulkanus (z Cyprydą „naspół z Marsem“), „chciał też mieć koniecznie i brata — w takim stanie, snadź żeby[ś] zażył jeszcze świata — i którą z ustawicznych tetryk i ciemności — okrutną wziął naturę, złożył z jej srogości“. Pluto, zraniony strzałą miłosną, „piekłem wszytkim poruszy i stąd wrota ciemne — przepadszy Erebowe, w straszliwym obozie — wojska Demogorgonów, na ognistym wozie — ku górze tej obróci“. Prozerpina zbierała właśnie fiołki i konwalie wraz z Dyaną i Minerwą. „Aż tu szum zadzwoni — w uszu jakiś niezwykły, ziemia się poczyna — ruszać z gruntu i słońce swego zapomina — dnia dobiegać, okropną powlókszy się chmurą, — póki gdzieś wyrzucony z tych przepaści dziurą — ogień srogi wypełgnie i żarliwą łuną — nas ogarnie. Zaczym się jako skry wysuną — źli duchowie i Jędze z krwawemi oczyma — i ród Echiońskiego wszytek Tryptolema — i druszki Eumenidy i wściekłe Gorgony, — głownie kurząc smolane. A sam zaperzony — między tą to gwardyją w purpurze godowej — siedział Pluto: na

głowie wieniec cypryssowy — ogolony z kołtunów wężorodnych mając, — i pomiętych plugawie wąsów pociągając. — wzrok podobny komecie, nos jako tram długi. — powyciągał na czole starożytne rugi, — i jakoby wyzuta ze swej surowości — cera wszytka ku jakiejś się ludzkości — zdała tedy...“

Zauważył już R. Pilat[1]), że w obrazie tego Plutona są pewne rysy Plutona Tassowego z Goffreda: „wzrok podobny komecie (= wzrok by u komety Goffred P. Kochanowskiego): „pomiętych wąsów (= wąs pomięty Goffred). Te reminiscencye są pewne. Ale czy na ich podstawie możnaby się domyślać, że i reszta obrazu Plutona i opis jego orszaku i inne odstępstwa od Owidyusza są własnością samego Twardowskiego? Bynajmniej. Opuściwszy Owidyusza, poszedł Twardowski za wersyą innego poety rzymskiego, który od końca w. XV. był dla naszych humanistów ulubionym pomocnikiem przy pisaniu panegiryków, zwłaszcza epithalamiów. za wersyą Klaudiana *De raptu Proserpinae*[2]). Stąd (I., 32 i n., 93 i n.) pochodzi troska Jowisza o ożenienie brata. troska tem wywołana. że sam Pluto raz rozgniewał się o to, „quod solus egeret — connubiis sterilesque diu consumeret annos — impatiens nescire torum nullasque maritae — illecebras nec dulce patris cognoscere nomen“. Z tymi żalami wyprawił do Jowisza w poselstwie Merkurego i kazał mu między innemi powiedzieć (I., 99 i n.): „Nonne satis visum, quod grati luminis expers — tertia supremae patior dispendia sortis... sed thalamos etiam prohibes? Nereia glauco — Neptunum gremio complectitur Amphitrite. — Te consanguineo recipit post fulmina fessum — Iuno sinu...“ Jowisz poleca rozpalenie miłością Plutona — Wenerze (I., 207 i n.), życząc sobie: „Ditisque severi — ferrea lascivis mollescant corda sagittis“ (w. 219). Echem tego zdania jest owo „złożenie srogości“ z okrutnej natury Disa. — Wulkaniczne. katastrofalne wyjście Plutona na świat stąd u Twardowskiego pochodzi. że Klaudyan (I., 7 i n.). przystępując do swej pieśni. daje taką uprzednią wizyę zjawienia się boga podziemia na górnym świecie: „Iam mihi cernuntur trepidis delubra moveri — sedibus et claram dispergere

---

[1]) „Historya literatury polskiej“, III., 1911. str. 136: uw. 1.

[2]) O wpływie jego na naszych humanistów zob. T. Sinko: „Poezya łacińska humanistyczna“ (Encykl. polska Akad. krak., t. XXI., str. 129 et passim). Poemat „De raptu Proserpinae“ wyszedł w Krakowie u H. Vietora w roku 1524. Przekładał go na polskie A. W. Ustrzycki (Warszawa 1689, Kraków 1700, Warszawa 1772). F. D. Kniaźnin („Zab. przyj. i poż.“, t. 16). W. Gurski (Dzieła, t. 5).

fulmina lucem — adventum testata Dei. Iam magnus ab imis — auditur fremitus terris". Echo tego wzburzenia natury odbija się w Eleuzis, bo tam Ceres, szukająca córki, ma nauczyć rolnictwa Triptolemosa, a on na wozie, zaprzężonym w smoki, ma dar bogini ponieść w świat. Twardowski nie rozumiał wizyonerskiego charakteru tego wstępu i „ród echiońskiego wszytek Typtolema", a więc jego smoki wyprawił z Disem z piekła wraz z Jędzami, Eumenidami i Gorgonami. Tryptolem był synem Ateńczyka Celeusa, a więc nie należy mu się przydomek echioński, tyle, co tebański. Ponieważ u Klaudyana (I., 37 i n.) Pluton z początku myśli o powstaniu przeciw Jowiszowi, by pomścić swą przymusową bezżenność: „iam quaecunque latent ferali monstra barathro — in turmas aciemque ruunt contraque tonantem — coniurant Furiae; crinitaque sontibus hydris, — Tisiphone, quatiens infausto lumine pinum — armatos ad castra vocat pallentia Manes". Te Manes, to Twardowskiego „źli duchowie", Furiae, to Jędze, które Twardowski jeszcze raz wymienił jako Eumenidy, a ich pochodnie oddał Gorgonom, wyprowadzonym z przedpiekła Wergiliańskiego (Aen., 6. 289).

Największa licencya Twardowskiego leży w tem, że to, co u Klaudyana było tylko zamiarem, zniweczonym wnet uprzejmością Jowisza, on przedstawił jako fakt: Jego Pluton wychodzi na ziemię, jak do nowej Gigantomachii; u Klaudyana (II., 151) wyjeżdża sam, a temu wyjazdowi towarzyszy trzęsienie ziemi. Dopiero gdy ze zdobyczą uciekał i rozłupał berłem skały sycylijskie, zatrwożyło się niebo i spłoszyły rumaki Słońca (186 i n.): „pressis haesere lupatis — attoniti meliore polo rursusque verendum — in Chaos obliquo certant temone reverti". Poczuwszy jednak na grzbiecie bicz boga, puściły się tem szybszym biegiem. Twardowski drugą fazę opuścił, a z pierwszej zatrzymał szczegół o słońcu, które „swego zapomina dnia dobiegać".

Porwana Prozerpina błaga u Klaudyana pomocy bogów (II., 204 i n.). Natychmiast Pallas zbroi się w egidę, Dyana chwyta za łuk i spieszą przeciw stryjowi w obronie — dziewictwa. Nimfy już przedtem pouciekały (204). Ale głos Hymeneja powstrzymał wojownicze boginie od interwencyi na korzyść porwanej. Twardowski, mając ten ustęp przed oczyma, wprowadził Minerwę i Dyanę między towarzyszki Prozerpiny, zbierające kwiaty, i razem z niemi kazał im odrazu uciekać. Z narzekań Prozerpiny (II. 250 i n.) zostawił tylko wezwanie matki (= Klaud., II., 267).

Takie swobodne szafowanie materyałem Klaudyanowym nie zadziwi nas u Twardowskiego, gdy sobie przypomnimy podobną dowolność w posługiwaniu się motywami baśni Apulejusza. Stosunek jego do obu autorów rzymskich jest ten sam. Nie zawsze kompozycyjne względy rozstrzygają o zatrzymaniu lub pominięciu pewnych szczegółów oryginału. Twardowski przytacza to, co mu utkwiło w pamięci, bez oglądania się na celowość i po prostu — baje.

Dyana, chwaląc moc dziewictwa i pracy, powołuje się na Minerwę, która jest „zawsze w pracy... zwodząc do szkół i szranek młodzi pięknej grona“ (str. 82). Jest to remiscencya z Owidyuszowego opisu szkolnego święta Minerwy (Fast., III, 809 i n.). Zapał myśliwski objaśnia Dyana postępowaniem myśliwych, którzy „nawet młodych małżonek gdzieś zapominają, — dysząc sami pod niebem“ (str. 84). Obraz to Horacyuszowski (Carm., 1, 1, 25): „manet sub Iove frigido — venator tenerae coniugis immemor“. Nad upolowanym właśnie dzikiem wszczyna się rozmowa (str. 85), w której Dyana przypomina najprzód o dziku erymantyjskim, złowionym przez Herkulesa, następnie o dziku, który niegdyś zranił pięknego Adonisa. „A tu jej Paskwalina słodką przerwie mowę: — Coby to za Adonis? Gdyż Theokrytowę — kiedyś Muzę czytając, cosiem też już o nim — podobnego słyszała i jako stąd po nim — Wenus była żałosna“. Paskwalina ma oczywiście na myśli Pseudo-Teokrytową pieśń (id. 30): Ἄδωνιν ἡ Κυθήρη... Wobec takiego zejścia rozmowy na tory literatury, mogłaby jej Dyana powiedzieć, że pewnie czytała też w Owidyuszu (Met., 10, 465 i n.) o kazirodnym związku Myrrhy z ojcem, Cinyrasem, i o owocu tego związku, Adonisie. By jednak nie tracić sposobności do opowiadania tej historyi Owidyusza, Twardowski każe rzec Dyanie: „Wiesz, nie wątpię o tym... A małoć też potym, choć i nie wiesz“. Tu opowiada Dyana według Owidyusza o przemienieniu Myrrhy w drzewo, cudownem urodzeniu się Adonisa, jego myśliwstwie, miłości doń Wenery i katastrofie z dzikiem. Ta katastrofa odmalowana jest barwami Owidyusza (Met., 10, 710 i n.). Współczucie słońca i całej natury ze śmiercią Adonisa (str. 86) jest spotęgowanem echem żalów gór, drzew, kwiatów, rzek, źródeł, nad trupem Adonisa w pierwszej idylli Biona (w. 32 i n.). Przemiana zmarłego w kwiat opowiedziana jest znów za Owidyuszem (10, 735). Szczegół o związaniu dzika w Ps. Theokr. Epitaph. Adonid., 10 rozprowadził Twardowski w przykucie dzika do — rodyjskiej skały na wieki

Zwykle lokalizowano historyę Adonisa na Cyprze, gdzie była sławna jego świątynia.

Prócz historyi z Adonisem Dyana też potrąca o miłostki Wenery z Marsem (str. 87), choć „o tym raczej przydzie — zamilczeć... dziewicy“. Zmyśla też jakieś szalenie Wenery „do Euryta“, choć jedyny bardziej znany w mitologii Eurytus, król Oechalii, ojciec Ioli, nie nigdy z Wenerą nie miał do czynienia. Widok pięknego strumienia (str. 88) wywołuje u Paskwaliny zapytanie o jego imię: To Hebrus — odpowiada Dyana. — (choć niedawno były u stóp — Etny), sławny z tego, że doń Thyady wrzuciły głowę i lutnię Orfeuszowa (Owid. Met., 11. 50). Paskwalina odrazu przypomina sobie „starą wieść“ (Owid. Met., 10. 1 i n.) o wędrówce Orfeusza do podziemia po Eurydykę, a wersyę tę komentuje Dyana, jak w 19 w. librecista Offenbacha w „Orfeuszu w piekle“: Postępowanie Orfeusza było — nieszczere. Słyszał twardy warunek bogów, wiedział, że się nie da zmienić, a przecież — obejrzał się. Widocznie „się.. rozbaczył, jako z jedną żoną, — ile dla swych narowów czasem naprzykrzoną, — krzyż długo żyć... i przetoż wierzę swemu słowu — dosyć w tym nie uczynił i mało nie wołał, — że się nazad wróciła“. Żale za Eurydyką, żale, wzruszające zwierzęta i lasy, były „dla koloru“, dla pozoru. Dowiodły tego jego późniejsze miłostki „z Bachidami marnymi“. Te, nie mogąc się pogodzić, której się miał dostać, „rozszarpały okrutnie...“ Owidyusz (11. 1) opowiada, że Bachantki zabiły wieszcza Apollinowego, jako wzgardziciela ich kultu orgiastycznego: „en... en hic est nostri contemptor“. Twardowski, czyniąc zeń — kochanka Bachantek, sparodyował mit, — jakgdyby sprzykrzywszy wreszcie sobie to igranie z mitologią starożytną, którą wypełnił drugą księgę swego romansu.

W trzeciej, wróciwszy do wątku Apulejuszowego i mając doprowadzić do końca rozwiniętą dotąd opowieść, nie miał już sposobności do tylu dygresyj. Ztąd też i mitologii i reminiscencyj klasycznych znacznie tu już mniej:

O miłostkach Wenery z Marsem tyle już razy dotąd opowiadały rozmaite osoby romansu, że ponowne wprowadzenie tego motywu i to od początku, od wysłania Amora, by zranił Marsa i zwrócił serce jego ku Wenerze, da się wytłumaczyć tylko chęcią przedstawienia pierwszej porażki Wenery i Amora: Mars zajęty jest wojną, więc go strzała Amora zranić nie potrafi, a Wenus dla niego obojętna. Amor wraca z Ameryki ponad — Athlant (str. 93), wspominany także w pieśni pierwszej (str. 2) i drugiej

(str. 89). Pod ową górą umieszcza Twardowski rozkoszną łąkę, przez którą płynie „Cydarys, śliczna rzeka“. Starożytni rzeki tej nazwy nie znają; cidaris oznacza po grecku i łacinie rodzaj perskiej tiary. Nieklasyczne też jest przedstawienie żaru śpiącego Amora (str. 94): Oddech jego zione żywym ogniem, od którego zapalają się okoliczne zioła i drzewa, wysychają bagna. Z tymi rysami nie zgadzają się inne, jak: że rzeka wdzięcznem szemraniem „dodawała snu“ Amorowi, że Fawony go chłodziły, ptaszęta usypiały, a niebo lało „osobne przysmaki“.

Wenus tem bardziej żałuje utraty łuku i strzał Amora (str. 99), że „w ziemi gnije — dawno Cydon: Wulkan też, choć rzekomo żyje, — tedy stary ani mu przez zgrzybiałe lata — dogrzać hartów podobna“. Sporządzanie strzał Amora przeniósł Twardowski na kowali, którzy według Werg. (En., 8, 425) kuli gromy Jowisza; jednak zamiast Brontesa, Steropesa lub Pyrakmona wymienił jakiegoś Cydona, może przez wspomnienie owego Rutula Cydona, którego w Eneidzie (10, 325) zabił Eneasz. W każdym razie miał na myśli Cyklopa. Ujemny sąd Wenery o zgrzybiałości Wulkana jest operetkową inwencyą Twardowskiego, opartą o rzekome zaniedbywanie gorącej bogini miłości przez męża.

Paskwalinę, związaną przez Amora, oswobodził Satyr (str. 102), który jej się przedstawił jako mieszkaniec lasu, „skąd wygnana Astrea i potopem ziemię — zalawszy władogromy, to tu ludzkie plemię — pomieszał był z zwierzęty, prócz w nas zostawiwszy — Saturnową niewinność“. Są tu reminiscencye z Owidyusza (Met., 1, 150) o Astrei, która ostatnia z bóstw opuściła grzeszną ziemię i o groźbie Jowisza (1, 191), który postanowił wytępić ród ludzki, zostawiając w jego miejsce półbożków, jak: Nymphae — Faunique Satyrique et monticolae Silvani; wreszcie (1, 89 i n.) o złotym wieku Saturnowym. Znaną lubieżność satyrów tłumaczy Twardowski w ten sposób (str. 106), że Amor ich ranił swemi strzałami, wskutek czego „gdy dostać nie mogli, kogo zachowali, — abo szyje łamali, abo się rzucali — ze skał sami umyślnie. A jeśli też w ciesni, — którą tam przydybali, jako ludzie leśni — ceremonii nie strzegą, to lada łoziną, — abo nawet w ręku im podzierzgła się trzciną, — chęcią ich kontentując“. To przedzierzgnięcie się łoziną lub trzciną — to, zdaje się, przemiana Nimf, prześladowanych przez Satyrów, w łozy i trzciny. Po rozzbrojeniu Amora widzi Satyr powrót złotego wieku (str. 107): „stąd wrócone cnoty, — zgoda, pokój“, według Horacego (Carm. saec., 57): „iam Fides et Pax... et neglecta redire virtus audet“. To szczęście opiewa pierwszy

Satyr. „acz lutnia tu Phebowej ni wylanych wierszy, — z jego gdzieś tam Trypodu żadnych nie zasięg*nie*, — ani koni w karocę słoniową zaprzęg*nie* — białych rzymskich“. Poeci nie zasiadali na trypodzie Apollinowym, tylko Pytia, a już z tryufalnym rydwanem rzymskim nic nie mieli wspólnego, prócz okrzyku: Io! Io Triumphe! Otóż ten okrzyk przypomniał Twardowskiemu Horacego (Epod., 9, 31): „io Triumphe, tu moraris aureos currus“ — i ztąd słoniowa karoca Satyra. Tryumfalną pieśń na cześć pogromczyni Amora mają zawodzić także zwierzęta, które nieraz w szale miłosnym staczały z sobą krwawe walki i „powietrze“ (czyli wiatry) „burzliwe często z tego zapału“ i ryby, co się potykały z sobą „pułki niezmierzonymi“: tembardziej ludzie, którzy niegdyś (jak Syzyf) zasiadali z bogami u złotego stołu, „królowie, kapłani, profesorzy, zakonnicy“... Odtąd wszyscy będą wolni od niepokojów miłosnych. Jak nadal się ma odbywać propagacya przynajmniej zwierząt, o to się Satyr nie troszczy. — Oczywiście wszystko to pojęcia nie antyczne. Tak samo jak obawa, by Kupido swej połamanej broni „nie skliił karukiem — z umarłego Jeziora“ (str. 109). Może Twardowski ma tu na myśli asfalt, produkt „Morza Martwego“ w Palestynie.

Świątynia Junony (str. 110) miała z wierzchu „przeźroczystą... na kształt rzymskiej kopułe, którą przyjmowała — światła wszytkie słoneczne“. Chyba to coś w rodzaju rzymskiego Pantheonu. Także owe tysiąc mosiężnych obelisków, podpierających ściany, to jakieś wspomnienie obelisków, stojących przed kościołami rzymskimi. Dziwne się na pozór wydaje określenie imbryków z sokami jako „lestrygońskie“: ale i tu widać uczoność Twardowskiego, który czytał u Horacego (Carm., 3, 16, 34): „nec Laestrygonia Bacchus in amphora — languescit mihi“. Horacy miał na myśli amfory formiańskie (kampańskie), a że według Odyssei dawniej w Kampanii mieli mieszkać Lestrygonowie, nazwał je lestrygońskiemi: za nim poszedł Twardowski. — Na posadzce jadalni ogląda Paskwalina „dyamentem ryte — kiedyś od Polikleta dzieje znamienite“ Junony (str. 117). Polyklet był twórcą sławnego posągu Hery w Argos. To dało Twardowskiemu asumpt do przypisania mu także także mozaiki, przedstawiającej jej dzieje. Jak sobie poeta wyobrażał technikę ich wykonania zapomocą — dyamentu, trudno orzec. Nie opisując mozaiki, wymienia Twardowski znaną z Iliady (1, 500) scenę, w której Tetyda prosi Zeusa o pomoc dla Achillesa. Homerowa opowieść o wyrzutach Hery, skierowanych do męża po odejściu Tetydy i o pogróżkach Zeusa („Siadajże sobie spokojnie

i bądź posłuszna rozkazom, — boby ci wszyscy bogowie Olimpu nic nie pomogli, — gdybym, zbliżywszy się, groźne me dłonie podniósł na ciebie") zmienia Twardowski w ten sposób, że Juno odpycha wprost Tedydę, klęczącą u nóg Jowisza, a gdy nie odnosi, czego zechce, „niebo, wszystko zamiesza straszliwym hałasem, — aż ją (mąż) musi ubłagać i przepraszać czasem". W dalszym ciągu opowiada wieszczka Paskwalinie o gniewie Junony ku Wenerze z powodu Eneasza, protoplasty przyszłych zdobywców Kartaginy. Tu (str. 117) streszcza rolę Junony w Eneidzie. Nieobecność bogini tem tłumaczy (str. 118), że „na Fest pospieszła — z bogi do Ethyopów", o czem często opowiada Homer (n. p. Il., 1, 423). Broń, zdobytą na Amorze, ma Paskwalina powiesić w świątyni (str. 120), jak Hor. Carm., 3. 26, 3 i n.

Przedstawiwszy samobójstwo Amora (str. 122), dodaje Twardowski, że pomogłyby mu prędzej zejść ze świata wszystkie Heroiny, „którekolwiek dla niego kiedy co cierpiały", jak Eryfila, Jokasta, Hero, jak Semele, Kleopatra, Fedra, Pasifae, Laodamia, Ariadna, jak Danae, Cenissa, Lidya, Prokris, Canace, Thisbe, Pirhehe, Mirrha, jak wreszcie Dydona. Znaczna część tego katalogu pochodzi z Eneidy (6, 445), gdzie Wergiliusz wymienia dusze tych, „quos durus amor crudeli tabe peremit", jak Phaedra, Prokris, Erifyla, Euadne, Pasifae, Laodamia, Cenissa (fem. od Ceneus), Dido... Od siebie dodał Twardowski także ofiary miłości, znane głównie z Owidyusza, ale i zkądinąd, jak Jokasta, Hero, Semele, Ariadna, Canace, Tisbe, Mirra, a nadto egipską Kleopatrę (Hor. Carm., 1, 37) Horacyuszowską Lidyę (Carm., 1, 8, 13, 25; 3, 9) i jakąś Pirhehe, która jest chyba zepsutą Pirrheną, a ta zastępczynią Horacyuszowskiej Pyrrhy z Carm. (1, 5). O Dydonie opowiada Wergiliuszowski (Aen., 1, 718) szczegół, jak piastowała Amora na łonie „oszukana Julem". Wobec tylu nieprzyjaciółek mógłby Amor liczyć na litość tylko u Plead, „co się z bogami — kiedyś tam pokumały, że miłośnicami — ich zostały i słyną na niebie tym łożem". Zapomniał widocznie Twardowski, co o tych samych Plejadach, córkach Atlasa, ściganych przez Oriona, opowiadał na początku (str. 2): w każdym razie nie związki z bogami, ale miłosierdzie Jowisza nad uciekającemi przed natrętnym kochankiem dało im miejsce na niebie.

Po wątku reminiscencyj klasycznych dobiegliśmy po raz drugi do końca romansu Twardowskiego. Przekonaliśmy się, że o ile z Apulejusza wziął pomysł do obrazu i główne figury, o tyle szczegóły zawdzięcza Owidyuszowi, Wergiliuszowi, Horacyuszowi i Klaudyanowi.

a z greckich poetów Teokrytowi, Bionowi, Moschosowi, Anakreontowi i Muzajosowi. Zapożyczek tych tak dużo, że własna inwencya poety schodzi na daleki plan. To też Twardowski nie szukał chluby w oryginalności, ale nawet wbrew prawdzie zaznaczył w tytule, że swą Paskwalinę tylko „z hiszpańskiego świeżo w polski przemienił obiór“. Ostatecznie więc sposób komponowania Paskwaliny niewiele różni się od powstania dawniejszej „Dafnis drzewem bobkowym“ (1638), do której główną osnowę wziął Twardowski z libretta włoskiego, ale wyposażył ją w szczegóły, zaczerpnięte z własnej lektury klasyków i Tassa [1]). W świetle tych dwóch utworów estetyka Twardowskiego przedstawia się tak samo, jak estetyka młodszego Wacława Potockiego, o którym pisze prof. Brückner [2]): »Własnej inwencyi niby wcale nie uznaje: wedle niego zadanie polskiego poety ogranicza się do tego, aby przysmaczać wierszem łacińską „Argenidę“, Komentarze Sobieskiego, epizody z Liwiusza czy de Thou, wykład Ewangelii...: nawiązuje nawet „Moralia“ do sentencyi z Erazma, a „Poczet Herbów“ do Okolskiego.« Z tej praktyki wyprowadza autor wniosek, że „fantazyi wolnego lotu nie dawał poeta przyziemny całkiem“. Ponieważ o taką samą przyziemność trudno posądzać i Twardowskiego i Andrzeja Morsztyna, który w swej „Lutni“ przerabiał (jak to wykazał prof. Porębowicz) liryki Marina, a w „Psysze“ tegoż Włocha „Adonisa“, trzeba w tem wyrzeczeniu się własnej inwencyi u poetów naszych XVII. wieku widzieć raczej objaw pewnej doktryny literackiej. Jest nią ten sam starożytny przepis imitacyi, którym się czuli związani nasi poeci XVI. wieku z Kochanowskim na czele. Ponieważ przy „Wzorach Trenów Kochanowskiego“ [3]) obszerne podałem jego uzasadnienie, tu poprzestaję na stwierdzeniu, że nasza poezya XVII. wieku idzie w tym za poetyką renesansową, a raczej jej kontynuatorką barokową, że n i e u z n a j e p o s t u l a t u o r y g i n a l n o ś c i w i n w e n c y i, a za w z o r y u w a ż a w d a l s z y m c i ą g u a u t o r ó w r z y m s k i c h i g r e c k i c h, ale dodaje do nich i w s p ó ł c z e s n y c h H i s z p a n ó w, W ł o c h ó w i F r a n c u z ó w. I do tych wskazali im drogę renesansiści, jeżeli Kochanowski oglądał się na Ronsarda i Trissina, a Szarzyński na liryków włoskich.

---

[1]) ob. M. P e t e r: O wpływie „Jerozolimy Wyzwolonej“ na „Dafnidę“ Twardowskiego („Pamiętnik literacki“, 1913, str. 37 i n.).

[2]) „Poezya w wieku XVII.“ (Encykl. pol. Akad. krak., t. XXI. str. 273).

[3]) „Eos“, XXII., 1917, str. 78 i n.

Akta wpływu Apulejusza na literaturę polską nie zamykają się na Twardowskim, Potockim i A. Morsztynie. Nim ktoś zbierze jego echa u innych poetów barokowych, rokokowych i oświeconych, chciałbym przy sposobności dotknąć jeszcze wpływu baśni Apulejusza na niedokończoną baśń A. Mickiewicza p. t.: „Król Bobo i królewna Lala“ [1]. Na pozór podobieństwo ogranicza się do jednego motywu. Jedyna córka Boba była ze wszystkich panien najrozumniejsza, najurodziwsza, najposażniejsza, ale żaden z kawalerów nie chciał się w niej — zakochać: „Przyjeżdżali królewice z dalekich stolic, — odwiedzali ją książęta z blizkich okolic. — nikt się wdziękom jej dowoli nie mógł napatrzyć. — ale nikt się o jej rękę nie chciał oświadczyć.“ Królewna radaby była wyszła choć za którego z książąt poddanych. Trzem z kolei ofiarowała posag i rękę, ale każdy się jakoś wymówił i czmychnął z dworu Boba. Opowiadali potem, że Lalę szanują, cenią, wielbią, bo i przymiotów ma dużo i królestwo w posagu: „Rozum każe się w niej kochać, a serce przeczy: — woleli więc panowie iść na wygnanie, — aniżeli bez kochania na królowanie.“ A królewna Lala rosła bez męża i dziatek i ciągle płakała nad swoim losem..

Smutne przeznaczenie Lali identyczne jest z położeniem Apulejuszowej Psychy. Zjeżdżali się ludzie, zwabieni sławą jej piękności, by ją oglądać: „multi... civium et advenae copiosi, quos eximii spectandi rumor studiosa celebritate congregabat, inaccessae formonsitatis admiratione stupidi... ut ipsam prorsus deam Venerem venerabantur“ (Met., IV., 28). Ale nikt nie ośmielił się prosić ojca o jej rękę (IV., 32): „Psyche cum sua sibi perspicua pulchritudine nullum decoris sui fructum percipit. Spectatur ab omnibus, laudatur ab omnibus, nec quisquam, non rex, non regius, nec de plebe saltem, cupiens eius nuptiarum petitor accedit. Mirantur quidem divinam speciem, sed ut simulacrum fabre politum mirantur omnes.“ Także żale Lali: „Każda panna z mego dworu, każda poddanka, — czy prostaka, czy pastucha znajdzie kochanka, — ma towarzysza, ma dziatki. Ja tylko biedna, — bez towarzysza, bez dziatek, zostanę jedna“ — odpowiadają żalom Psychy: „olim duae maiores sorores, quarum temperatam formonsita-

[1] Potrąciłem o tę kwestyę już w odczycie p. t.: „Świat baśni“, drukowanym w krakowskich „Maskach“, I., 1918, zeszyt 7 i 8, str. 149. Tam też odsyłam po wywody o ograniczonej ilości motywów, formuł i typów baśniowych i o ich stałości, która prawie zawsze pozwala uzupełnić zepsutą baśń pewnego typu.

tatem nulli diffamarant populi, procis regibus desponsae iam beatas nuptias adeptae, sed Psyche virgo, vidua domi residens, deflet desertam suam solitudinem.“

Ojciec Psychy domyślił się w tem zrządzenia bogów, więc wyprawił poselstwo do wyroczni po radę. Wyrocznia kazała królewnę zaprowadzić w ślubnej sukni na szczyt urwistej skały, gdzie ją poślubi jakiś potwór. Pokazało się później, że ten poślubiony niby potwór był pięknym bożkiem, Amorem. Wprawdzie Wenus kazała mu wzbudzić w Psysze miłość do jakiegoś podłego człowieka, ale on sam postanowił ją pojąć za żonę. Wenus tak określa owego podłego gacha, którego przeznacza Psysze (IV., 31): „Virgo ista amore fraglantissimo teneatur hominis extremi, quem et dignitatis et patrimonii simul et humanitatis ipsius Fortuna damnavit, tamque infimi, ut per totum orbem non inveniat miseriae suae comparem.“ Tym warunkom potępieńca Fortuny odpowiada zupełnie wybrany przez Lalę na męża kuchcik „oszarpany, umurzan“; od roboty w dziecięcym wieku, „jak źrebię zajeżdżone“, skarłowaciały, kaleka: od ognia, przy którym musi dzień i noc kręcić pieczenie, na twarzy osmalony, zczerniały; z rękami stwardniałemi od mycia radli... Kuchcik, wezwany przez Lalę, by się dobrze umył, ręce piaskiem wyszorował, pięknie ubrał (ona mu dostarczy szat), wsiadł na konia i zajechał na dwór jako książę, wymawia się, że nie potrafi odegrać roli księcia, że go poznają, ale Lala radzi mu się podać za królewicza Karlutków z murzyńskiej ziemi. Kuchta, nie mając już żadnych objekcyj, „aż stracił mowę — i zadziwił się tak mocno, aż zaszedł w głowę; — włosy targał, ręce łamał, nogami tupał, — a zębami zgrzytał, jakby orzechy chrupał; — płakał coraz głośniej, że aż Lalę przeląknął, — w końcu dostał serdecznego śmiechu i jęknął...“

Na tem się urywa baśń Mickiewicza. Aby dośpiewać w duszy, co się dalej stało, nie wystarczy znać samą baśń Apulejusza, choć i ta wskazywałaby, że podły wybraniec Lali musiał się w końcu okazać pięknym królewiczem, dotąd zaczarowanym w lichego kuchtę, a zaczarowanym nie przez kogo innego, tylko przez samego króla Boba, który był „i czarownik“. Jak u Apulejusza gniew Wenery sprawił, że o Psyche nikt się nie myślał starać, tak u Mickiewicza chyba jakieś dawne przewinienie czarownika Boba było przyczyną klątwy, ciążącej na Lali. Zdaje się, że imiona króla i królewny należą do tak zwanych mówiących, a wzięte są z izby dziecinnej: Bobo, to dziecinna nazwa stracha, Lala — to lalka, z którą i starsi porównują osoby, zewnętrznie piękne, we-

wnętrznie — bez serca. „Lalka“ Prusa najlepiej ilustruje tę nazwę i to porównanie. Mickiewicz dotąd nie podkreślał wprost braku serca u Lali, ale zaznaczył to pośrednio. Lala ofiarowała wybrańcom „posag i rękę“, ale o sercu, o miłości nic nie mówiła. W żalach swoich wspominała tylko o braku towarzysza i dziatek, ale nie o braku miłości. Za kuchtę zdecydowała się wyjść tylko dla tego, by wbrew swej złej gwieździe czy czarom mieć jakiegokolwiek męża, ale że przytem myślała także o zachowaniu pozorów, dowód w radach, dawanych kuchcie: Ma on oszukać Boba, udawać królewicza z kraju murzyńskich Karlutków.

Aby zrozumieć skrupuły kuchty, trzeba sobie przypomnieć, że baśń, którą artystycznie opracował Apulejusz z dodaniem motywów literackich (romansowych)[1]) i tendencyi nowoplatońskiej czy nowopitagorejskiej[2]), należy w założeniu do typu baśni o królewnie, wydanej za potwora, który dotychczas w nocy poślubnej pożerał wszystkie oblubienice; jedna, dochowawszy nakazów, wybawiła go swem posłuszeństwem i miłością z postaci zwierzęcej, przywróciła mu postać ludzką i była odtąd szczęśliwą żoną pięknego królewicza[3]). Ponieważ w Baśni Mickiewicza motyw pięknej królewny, nie budzącej niczyjej miłości, i motyw wybrania najpodlejszego ulubieńca wspólne są z Baśnią Apulejusza, wolno według praw łączenia się pokrewnych motywów baśniowych w podobne formuły i typy przyjąć, że Lala, chcąc mimowoli wybawić kuchtę z jego

[1]) ob. R. Helm: „Das Marchen von Amor und Psyche“ (Neue Jahrbb. f. d. klass. Altertum, 1914, Abt. I., 33 Bd., 3 Heft).

[2]) ob. R. Reitzenstein: „Das Märchen von Amor und Psyche bei Apuleius“, Leipzig, Teubner, 1912. — Z dawniejszej literatury warto jeszcze czytać: I. Dietze: „Zum Märchen von Amor und Psyche“ (Philol., 59, 1900, p. 13 i n.); Zinzow: „Psyche und Eros...“ (Halle, 1881); L. Friedländer: „Darstellungen aus der Sittengesch. Roms“, (1886, I., 535 i n., 553); H. W. Stoll: „Erklärung der Apuleischen Fabel von Amor und Psyche“ (Jahns Archiv 13, 1847); I. A. Hartung: „Auslegung des Märchens von der Seele und des Märchens von der schönen Lilie“ (Progr. Efurt, 1866). — U nas zajmował się tą baśnią prof. M. Kawczyński: „Amor i Psyche w poezyi staro-franc.“ (Rozpr. filol., XXXIV., 1904); „Amor i Psyche w baśniach“ (Rozpr. filol., XXX., 1909).

[3]) ob. F. von der Leyen: „Das Märchen“ (Qeuelle-Meyer, Wissenschaft u. Bildung, m. 96), Leipzig, 1911, str. 98 i n. — Z polskich baśni tego typu wymieniam tylko baśń „O królewiczu-smoku i o kołowrotkach samoprzadkach“ A. J. Glińskiego: „Bajarz polski“, t. I. II., nr. 17.

podłej postaci, musiała się wyrzec fałszu i próżności, odstąpić od wymagania, by się przebierał i podawał za królewicza, by oszukiwał Boba: musiała wyjść za kuchtę takiego, jakim go widziała — z czystej miłości. Dziwaczne zachowanie się kuchty na końcu fragmentu Mickiewicza znalazło objaśnienie dopiero wtedy, gdy ten zuchwale oświadczył, że ożeni się z Lalą, o ile ona zechce go za męża takim, jakim jest. W Lali musiało się obudzić serce, musiała się zgodzić na ślub z kuchtą, a wtedy czar prysnął, kuchta okazał się pięknym królewiczem i opowiedział jej, jakto go czarownik Bobo za jakąś przewinę zamienił w kuchtę i zapowiedział, że dopiero wtedy odzyska dawną postać, kiedy jakaś piękna królewna się w nim zakocha i wybierze go za męża. Bobo musiał się oczywiście zgodzić na szczęście jedynaczki. Baśń byłaby się zakończyła tradycyonalnym obrazem wesela, a opis wesela tą samą formułką, która zamyka „Pana Tadeusza“: „I ja tam z gośćmi byłem, — miód i wino piłem, — a com widział i słyszał — w księgi umieściłem.“

Właściwie formułka musiałaby być zmieniona rytmicznie o tyle, by przed średniówką było ośm sylab, a po średniówce pięć, podczas gdy w trzynasto-zgłoskowcu „Pana Tadeusza“ przed średniówką bywa, jak wiadomo, zawsze siedm, a po średniówce sześć sylab. Trzynasto-zgłoskowce „baśniowe“ brzmiałyby więc:

> I ja też tam z gośćmi byłem, miód, wino piłem,
> a com widział i com słyszał, w księgi zmieściłem.

Taki bowiem jest tok prawie wszystkich wierszy[1]) Baśni o Bobie i Lali:

> Za czarnem i sinem morzem | był kraj zbyt cudny,
> obfity w łaki i w maki | rybny i ludny...
> Męskiego potomstwa nie miał | król Bobo wcale,
> tylko jedne miał córeczkę | na imię Lalę...
> Jak była najrozumniejsza, | najurodziwsza,
> tak ze wszystkich panien była | najnieszczęśliwsza... i t. d.

Częściej też, niż przy trzynastozgłowcu epicznym spotykamy tu wiązanie trzech wierszy tym samym rymem: wstając — hulając — przejeżdżając; doby — osoby — Boby; królewnie — pewnie — rzewnie; małżeństwo — rodzeństwo — błogosławieństwo; Lalę — ale — wcale; lubić — zaślubić — zgubić, sześć razy na 135 wierszy. Nie brak też rymów nieczystych, jak: blizkie — wszystkie;

[1]) z wyjątkiem wiersza 85 (7+6) i 126 (8+4).

prędzej — więcej; kazałam — całem, pomijając obfitość takich rymów zbyt łatwych, jak: najurodziwsza — najnieszczęśliwsza i rymów czasownikowych: szlochać — kochać; napatrzyć — oświadczyć; lubić — zaślubić — zgubić i t. d. Wiersz dziewiętnasty ma tylko jedenaście zgłosek i brak mu pary. Przez to wszystko ton wiersza epicznego obniża się znacznie i zbliża do prozy rymowanej, w którą późniejsi bajarze, jak A. J. Gliński („Bajarz polski“), ubierali swe kompozycye z motywów baśniowych, zaczynając jednak zwykle od porządnie rymowanych ośmiozgłoskowców, które zwolna przechodzą w prozę, tu i ówdzie rymowaną. Eksperymentu z baśniowym trzynastozgłoskowcem Mickiewicza (używanym zresztą „lirycznie“ już przez J. Kochanowskiego) nikt, o ile wiem, nie powtórzył. A przecież tli w nim nowa możliwość wzbogacenia wersyfikacyi polskiej, drzemie forma bodaj najodpowiedniejsza dla baśni.

Że Mickiewicz znał Baśń Apulejusza i zauważył jej związek z baśniami słowiańskiemi, widać z takiego ustępu Literatury słowiańskiej (I., 1941, lekcya 8): „Apuleusz jest jedynym pisarzem, który zachował mityczne dzieje miłostek Psychy z Kupidynem: na dawniejszych jednak od jego czasów pomnikach architektury widać już główne figury i sceny tego romansu, naśladowane i rozmaicone później przez rzeźbę i malowidło. Artyści starożytni nie czerpali swego przedmiotu z ksiąg Apuleusza, ale znaleźli go w tradycyi gminnej, powszechnie znanej. Ślad tej tradycyi można widzieć w zbiorze bajek słowiańskich, wydanych po rosyjsku.“ Zadaniem folklorystów jest wyszukać ten zbiór i orzec, czy baśń o Bobie i Lali, wzbogacona przynajmniej jednym rysem z Apulejusza, nie na nim się opiera.

Tadeusz Sinko

Pierwiastek autobiograficzny
w poezyi polskiej XVI. w.

(Ciąg dalszy.)

Przedstawiliśmy dotąd w postaci znanych nam autobiografij poetyckich główne przejawy indywidualizmów twórczych w XVI. wieku, — jak bardzo różnych między sobą i na jak rozmaitych stopniach rozwoju pozostających — widzieliśmy co tylko. Wypada teraz na chwilę zająć się utworami, które nie będą już stanowiły autobiografii w ścisłem znaczeniu słowa, bo nie ogarniają one całości życia, a tylko pewne jego strony, niektóre momenty, albo stanowią ogólną życia charakterystykę.

Kochanowski pozostawił garstkę fraszek, którym nadał każdej z osobna tytuł: „Do Jana", — są to fraszki, pisane do siebie w rozmaitych momentach życia. Doprawdy, zawahać się można, czy wogóle fraszki owe wolno nam wciągnąć w krąg naszych spostrzeżeń, tak bardzo się w nich moment rzeczowy wstecz cofnął i gdzieś ukrył niewidocznie, — ale że się jednak we fraszkach tych niewątpliwie odzywają fakta rzeczywiste i że dla określenia indywidualności nie są one bez znaczenia — tedy przyjrzyjmy się im bliżej.

Kochanowski pisze do siebie. Artysta upomina, skrzepia, pociesza, miarkuje człowieka. To symbolicznie dokonane rozdwojenie własnej osobowości jest czemś więcej, niż formą literacką: jest

wyrazem istotnego rozdwojenia duchowego poety. Kochanowski-człowiek błądzi, unosi się, cierpi, jak każdy inny, — ale obok niego istnieje Kochanowski-artysta, który żyje w świecie swej sztuki, wznosząc się ponad sprawy powszednie; artyście żal swego sobowtóra-człowieka, boć przecie jego cierpieniem się męczy, chciałby tamtemu oczyścić drogę życia z kamieni i cierni, — usłać różami — i z tego właśnie podłoża powstały fraszki, o których mowa. Indywidualność artysty-Kochanowskiego, sięgającego po senne królestwa nie z tego świata, występuje w tem ważniejszych kształtach, że niejako dłonią samego poety wyodrębniona i od człowieka odgraniczona.

Rzeczowa treść wspomnianych fraszek mniej ma już dla nas ciekawości. W jednej (ks. I., 73) przestrzega siebie i odwodzi, póki czas jeszcze od jakiegoś przedsięwzięcia miłosnego, które więcej obiecuje wstydu, gdyby je odkryto, niż prawdziwego zadowolenia. W innych pociesza siebie i skrzepia na duchu po doznanych jakowychś niepowodzeniach:

„Bądź niepożyty,
A trwaj statecznie...“

doradza sobie mądrze (ks. II., 18: „Do Jana“), bo choć nieszczęścia spadają na ludzi, przecież cnota nie traci wartości. Gdy mu czarną niewdzięcznością za serce odpłacono, strofuje się za zbytnią ufność w ludzi:

„...czyś tak rozumiał, nieboże,
Że ciernie inszy owoc, niż tarnki dać może?“

najlepsza teraz rada: zapomnieć, ale już lepiej szukać pomsty na niewdzięczne, niż zgryzotą zatruwać sobie życie. We fraszce 30 ks. III. rzewnie i szczerze skarży się na jakąś zdradzającą go kochankę. Tłumaczy sobie, że uczuć niegodna, więc poniechać ją należy. Choć to fraszka, naśladowana z Catulla (Carm., 89), ale szczerością uczucia mówi do nas o rzeczywistości przeżyć. Ból sfałszowany nie tłumaczyłby się takiemi słowy w modlitwie do Boga, kończącej fraszkę:

„..Panie!
Wejrzyj na mnie smutnego, a jeśli cnotliwy
Żywot mój, oddal odemnie ten wrzod szkodliwy.
. . . .

Już nie o to ja stoję, by mnie miłowała,
Albo, co niepodobno, cnotliwa bydź chciała,[1])
Sam zdrów bydź pragnę, a ten ciężki wrzód położyć."

Za przykładem Kochanowskiego pisywał też Melchior Pudłowski fraszki o sobie, pełne goryczy zawiedzionych ambicyj[2]).

Ogólną charakterystykę swego życia pozostawił nam — któżby inny, — jak nie autor „Zwierzyńca", pisząc w nim tak o „Mikołaju Reju z Nagłowic":

„Już ty kołac, jako chcesz, błotem podkowanym,
Już sie więc tam przypatruj ścianam malowanym,
Biegaj za nastołkami, a polewki chwataj,
A jako kędy możesz, tak swe szczęście łataj;
Jam już tak doma siedząc, obrał sobie pokój,
Bogum wszystko poruczył, ty tam z kim chcesz rokuj,
Bo tak słyszę, iż ten pan przed wszytkimi płuży,
A nikt na żadnym królu więcej nie wysłuży."
(„Zwierzyniec", II., str. 135: LXIV.).

Na tym krótkim utworze okazuje się jawnie wyższość poezyi nad prozą. Potrafił Rej w 8-mio wierszu zawrzeć esencyę swej mądrosci życiowej i filozofii religijnej, która w „Żywocie" rozcieńcza aż na 3 księgi pokaźne. Wyziera tu zeń szlachcic-ziemianin, rozmiłowany w swem pogodnem życiu „człowieka poczciwego", do służby publicznej czujący nieufność, a troski o pomyślne jutro składający na Boga.

Było też w zwyczaju pisywanie nagrobków sobie, które — jak z samej formy wynika — zawierać muszą ogólną charakterystykę i streszczenie życia. U nas jeden Dantyszek — widać mu dwu autobiograficznych utworów było mało — pisał epitafia sobie, raz jeszcze swe burzliwe życie zwierając w krótkich słowach:

---

[1]) We fraszce „O sobie" (ks. I., 24) zdradza się, że lubi grywać w karty", w innej: „O swych rymiech" (III., 17) objawia takie upodobania:

„Pijane moje rymy, bo i sam rad piję,
Nie mierzi mnie biesiada, nie mierżą mnie żarty
Podczas i czepiec, więc też pełne tego karty."

[2]) „Melchior Pudłowski i jego pisma", wyd. T. Wierzbowski („Bibl. zapomn. poetów i proz. polsk.", zeszyt X., Warszawa 1898, fraszki 133 i 176).

„Aula diu tenuit me regia: misit ad orbis
Primores erat hinc infula dupla mihi." [1])

Po za tymi więcej utworów przez poetów poświęconych w całości samym sobie — nie znaleźć w poezyi XVI. wieku. Pozostaje nam jednakowoż jeszcze wcale pokaźny materyał autobiograficzny w postaci wzmianek, wtrąceń nawiasowych, rozsianych gęsto po utworach poetyckich złotego wieku. Dla biografa jest to materyał pierwszorzędnej wagi chciwie, upragniony z gorliwością poszukiwany; dla nas natomiast wartość jego nieskończenie maleje, ileże z jednego lub dwu słów nie zawsze wiele wnosić można o indywidualności tego, który je wypowiedział.

Do ogarnięcia całego chaosu ulotnych, autobiograficznych napomknień posłużyć nam może jedna tylko zasada: wzgląd na rzeczową treść danych objawów. Nie ton wypowiedzenia, ani żadne szczególne okoliczności, ale co najwyżej tylko treść rzeczowa danej wzmianki stanowić może przyczynek charakterystyczny dla indywidualności mówiącego. Ale przyczynki to nazbyt nikłe i niezupełne w odniesieniu do odrębnych postaci, iżby mogły nakreślić, choćby z grubsza, charakterystyczny profil danej indywidualności. Natomiast na nowe tory zwraca myśl naszą inne spostrzeżenie: oto, że podobne szczegóły w ustach rozlicznych autorów brzmią niemal jednakowo. Więc, sumując odpowiednie przejawy, uzupełniając je wzajem i zestawiając, będziemy mogli nabrać niejakiego wyobrażenia o jakowejś fantastycznej indywidualności poety zbiorowego w XVI. w., nie tracąc — rzecz jasna oczu dla wybitniejszych zgoła indywidualnych odchyleń [2]).

Wprowadziwszy tedy fantastyczne pojęcie autobiografii zbiorowej, wejrzymy w sprawę z blizka.

Poeta nierzadko zapisuje ważniejsze w swojem życiu daty, n. p. urodzin: czasem oblicza sumiennie wiek swój w chwili, gdy pisze, a czasem go tylko w sposób zgoła nieokreślony zaznacza. — Andrzej Zbylitowski n. p.:

„Pomnię ja, chociam jeszcze nie dawno na świecie." [3])

---

[1]) Joannes Dantisci Epithaphium ab ipso scriptum (v. 7—8, op. c. str. 117).

[2]) Tak więc to nowe kryteryum analizy nie może pokrzyżować pierwotnych celów, bo posłuży do scharakteryzowania indywidualności przeciętnego poety XVI. w.

[3]) „Żywot szlachcica we wsi". — Niektóre poezye Andrz. i Prot. Zbylitowskich, wyd. Turowskiego, Kraków 1860, str. 6.

Czasem ze słusznem uczuciem dumy wymienia lata służby swej w apollinowej świetnej chorągwi: Joachim Bielski, n. p.:

„Oto już rok dziewiąty od tej pory minie,
Jakem się słodkiej pieśni poświęcił jedynie." [1])

Wspomina także poeta nierzadko miejsca, które widywał, w których przepędzał krótsze lub dłuższe lata. Pełno Italii w poezyi Janickiego; Andrzej Zbylitowski parokrotnie mówi o swej podróży do Szwecyi (patrz: Dodatek III.). Klonowicz, opisując egzekucyę na nędznym Martahuzie, ludokupcy — jak zwie handlarzy niewolnikami — przypomina sobie:

„Przed 40 lat w Węgrzech w miasteczku Pezinku
Byłem, kiedy jednego na takim uczynku
Zachwycono, co ludzi do Turek wydawał..."
(Wor. Jud., cz. VIII., str. 59).

O pochodzeniu, o swem miejscu rodzinnem zwykł także mówić poeta, a nawet i o swojej narodowości, co nie jest dla nas bynajmniej małoważne; jeśli wiemy, że Joannes Vislicensis był Polakiem, to tylko dlatego, że sam zapisał:

„Ego ipso paene in medio barbariae natus." [2])

Bóg-że mu zapłać i za to.

---

[1]) „Skarga na pewnego Gdańszczanina... z r. 1577", tł. Syrokomla, op. cit. VIII., str. 323.

Dantyszek, pisząc swe „epitaph. ab ipso scriptum", ma lat 63:
„Iam sexaginta coeuntet tres simul anni
Haefenus a superis quod mihi vita datur." (v. 1—2).

Gdy płynął do Palestyny, miał lat 20:
„Tum mihi bis deni fuerant, non amplius, anni."
(Ad Alliop., str. 93).

Por. też: Marcin Bielski:
„Mistrz ku swoim książkom..." (v. 133—4).
Janicki: Trist., VII., 15—17 i Var. El. XI., v. 5.

[2]) „Venerabili ac egregio viro magistro Paulo de Crosna..." Corp. Ant. poet. II., str. 167. — Por. też:

„Ut barbarum vatem decuit et Sarmatam" (Ad P. Tomic., v. 16)
i: „Convenit in patrio quamvis resonare triumpho..."
(carmen exhortatorium I. Vislic. ad Musam Pan. Rutheni, ver. 41), a także i dedykacya wojny pruskiej: „Sigismundo regi Sarmatiae..." Co do Dantyszka, Mar. Bielskiego i Janickiego — patrz wyżej.

Poeta przykładał się do nauk gorliwie i rozczytywał się z zapałem w księgach wszelakiej mądrości, — ale cóż — zawistne fatum zazwyczaj odrywało spragnionego od rozkosznej krynicy. Rej zresztą nie bardzo narzeka na to, podobno radził sobie, jak umiał, — szeroko się nam zwierza w tej materyi:

„Bom ja też prosty Polak, nigdziej nie jeżdżając,
Tum się pasł na dziedzinie, jako lecie zając,
Z granice polskiej mile nigdziem nie wyjechał.
Lecz, co wiedzieć przystoi, przedsiem nie zaniechał,
Aczem był nieuczony, przedsiem jednak czytał,
A czegom nie rozumiał, inszychem się pytał.“ [1])

Szarzyński podobno także: „uczonej mało pił wody“ [2]), a i Satyr za Kochanowskiego wyznaje:

„Nie uczyłem się ja w Lipsku, ani w Pradze wiary
I nie wiem jako każą w Jenewie u fary.“ [3])

Zawistne fatum, tem zaciętsze i nielitościwsze, im mniej sprawiedliwe, niełatwo wypuszcza ze szpon swych ofiary. Prześladowani, gnębieni na wsze strony poeci skarżą się wymownie na los nieubłagany i skarg takich jest wiele, bardzo wiele w poezyi XVI. wieku. Treścią ich: choroby, cierpienia fizyczne, złośliwość złych ludzi, ubóstwo. Mikołaj Huszowski, gdy po śmierci Ciołka wróciwszy do kraju wpadł w ciężką chorobę, takie przed Ludwikiem Altiuszem, sekr. królowej Bony, roztacza narzekania:

„Si mihi tu veteri desis fidoque sodali,
Quem gravitas morbi tam violenta premit

---

[1]) „Przedmowa krótka...“ („Zwierciadło“, Kraków 1914 II. str. 318. v. 14—20).

[2]) „Poezye“ (Biblioteka pisarzy polskich, Nr. 66. Kraków 1913, Sonet VII., v. 7).

[3]) V. 1856. Por. też: Jan z Wiślicy „Ad Petr. Tomicium“, v. 16. Mikołaj Hussowski skarży się, że młodość zmarnował na łowy, jako pachołek leśniczy jakiegoś pana:

„...in quibus absumpsi nunquam revocabile tempus
Otia devitans tunc odiosa quidem...
Que nunc mente peto magnoque labore
Insequor et variis retia tendo modis...“
(De Bisonte carmen, v. 95 i n.).

Tot magni cumulata malis; nam cuncta solutis
Membra labant nervis nilque vigoris habent." [1])

Szarzyński uskarża się nieraz na brak sił i niemoc cielesną [2]); wiadomo, ile w poezyach Janickiego lamentu na słabość i cierpienia fizyczne (por.: Dodatek I.). Niemniej ubóstwo. Bywało snadź często gęsto bardzo krucho z mieszkiem biskupa Krzyckiego:

„Sed mea divertunt aliorsum pectora curae
Et studium victus occupat omne meum;
Obruor expensis alieno et volvor in aere
Condicio loculos dum pracit ista meos." [3])

Czasem wychodząc z zakresu określonych rzeczowych skarg, uderza poeta w ton nieokreślonych, niejasnych lamentacyj, czyni się niewinną ofiarą zaświatowych potęg, — tak Jan z Wiślicy:

„Srogiej Nemesis przekleństwem ścigany
I gwiazdy losów moich wyrocznią,
Śpiewałem skargi bolejącej rany,
Wydając niby jęk synogarlicy,
Lub płaczącego łabędzia przed zgonem." [4])

---

[1]) Carm. min. VIII., v. 5—8. — Corpus ant. poet., vol. IV., Kraków 1894, str. 108.

Por. też: M. Jezienicki: „Mikołaj Hussowski w świetle najnowszych badań" (Kwartalnik histor., 1895, t. IX., str. 448).

Por. też: „Si licet et saevi patitur violentia morbi. (Nova et miranda de Turcis victoria... v. 1); „Rem certum nequeo decumbens dicere lecto..." (tamże v. 171—4): „Hoc opus exegi medicis prohibentibus aeger" (wiersz „ad lectorem" przy poemacie: „de vita et gestis Divi Hyacinthi").

[2]) Szarzyński, op. c.: „wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie..." (V., v. 10): „w tym wątłym ciele będzie, o mój Panie" (X., v. 48). „Wątły, ubogi i nigdzie bezpieczny" (XII., v. 2).

[3]) Krzycki: „Precatio ad regem pro quodam promisso..." (v. 5-8). Carm. ed. Morawski. Corpus ant. poet., I.

[4]) Tł. Mecherzyński: „Jana z Wiślicy Wojna pruska" (Rozpr. fil. Akad., t. VIII., 1880, str. 293):

„Deiectis aeris casibus Nemesis ferae
Trucibusque fatis ac iniquo siderum
Nutu, benigne praesul et dignissime,
Fudi melos tristi molesto pectore:
Ut turtur orba sub nece vel olor sua
Haud aliter et ego sub severo hoc tempore."
(Ad Dom. Petr. Tomieski, v. 1—5).

Taka obfitość autobiograficznego elementu skarg i jęków zastanowić musi. Poeci XVI. w. okazują dziwny brak dusznej wielkości, brak hartu w znoszeniu cierpienia. Nie wznoszą dumnie głowy, nie zamykają bolu w sobie przed wzgardliwą obojętnosaią ludzką, ale usiłują zmiękczyć łzami i choćby z narażeniem własnej godności wyżebrać współczucie. Ta niezmierna wrażliwość na powodzenie zewnętrzne i aż nazbyt mała odporność na niepowodzenia — to wybitna cecha indywidualności zbiorowego poety XVI. wieku w jego autobiograficznych wynurzeniach. Ale bo też pamiętać trzeba, że poezya w owym wieku była nietylko godnością i zamiłowaniem poety, ale także jego zawodem. — co znaczy mniej więcej tyle, że poezya winna była — jeśli poeta był głodny — nakarmić go i napoić, oraz przyodziać niezgorzej. A o tyle tylko była mocna to sprawić, o ile zdołała przemówić do serca możnych panów, mecenasów sztuki. Ztąd wszelkie środki zdają się godziwe, jeśli wiodą do celu, ztąd obfitość skarg i użaleń na nieszczęsną dolę staje się zrozumiała.

Ów wzgląd utylitarnej natury objawia wpływ przemożny na rozwój, charakter i kierunek poezyi nietylko zresztą polskiej. Stosunek poety do mecenasa, w najrozmaitszych występujący formach, odbija się też nierzadko w autobiograficznych wynurzeniach i dlatego wypada wejrzeć bliżej w sprawę, ileże ztąd ciekawe może spłynąć światło na indywidualność poety.

Że miał zawistników, dowodzi: „Epigr. ad inviduum“, str. 224, ver. 3.

O swojej biedzie mówi też z goryczą Pudłowski:

„Kto winien? Jam nie winien, że żywię w chudobie.
Przyczynym nie dał żadnej do chudoby sobie.
. . . .
Wszyscy mnie porzucili...“ (fraszki, „O sobie“, 133 — por. też:
176) skarży się St. Grochowski w dedykacyi do wiersza „Kolęda“.

Piotr Zbylitowski zaznacza też swą chudobę:

(złota) „...nie mam w chudym domu swoim.“
(Do JMp. Czarnkowskiego, kaszt. nakiel., str. 6).

Jeden tylko Sebastyan Grabowiecki zachowuje godność stateczną:

„Nie przeto, żem jest od państw oddalony,
A iż tak Bóg chce, w skarby nie bogaty,
Nie, iż w gałązki mój szczep nie rogaty...“
(Rymy duchowne. Bibl. pis. pol. Nr. 25, LXXIII., v. 1—3).

Poeta nierzadko odwołuje się wprost bez żadnych ogródek do łaski pańskiej (por.: Dodatek I.), ofiarowując swoje usługi [1]); czasem także używa drogi pośredniej, prosząc o wstawiennictwo czyjeś i tak drogą okrężną mierzy do celu: Stanisław Grochowski n. p., zwracając się do marszałka kor. Piotra Wiesiołowskiego:

„Królowi zaleć tę kartkę i poddaństwo moje.
Aza mię kiedy przyjmie w łaskę swoje.“ [2]).

I tą samą także jawną szczerością przyznaje się poeta do otrzymywanych dobrodziejstw [3]) — i nawet z pewnym odcieniem dumy, a już całkiem bez śladów fałszywego wstydu — Jan z Wiślicy w wierszu do Tomickiego, n. p.:

„Parnassidum nam veles hoc primum fero
Munus decori patriae carae suae
Tibique pollio meus dignissime
Tutela — fama est sic — virorum docilium“ (v. 18–21).

---

[1]) Mikołaj Hussowski n. p. Janowi Karnkowskiemu, kaszt. kr. (Carm. min., VII., op. cit. str. 107).

Piotr Zbylitowski ofiarowuje Czarnkowskiemu swą gotowość służby:

„Chcę służyć, póki czerstwe dopuszczą mi lata...“
(Przedm. do „Rozmowy szlachcica polskiego z cudzoziemcem“, str. 7).

[2]) Dedykacya do wiersza: „Kolenda“: por. też: Kochanowski, gdy prosi St. Fogelwedra, sekretarza król., o wybadanie zamiarów królewskich:

„Tu mentem indaga regis, sensusque latentes
Non mihi nil dederit si citus abnuerit“ (El. III., v. 11 i n.).

[3]) Paweł z Krosna w liście dedykacyjnym mówi o ofiarowanem mu beneficium Erdo:

„Sed, o Jupiter, ubinam gentium musis meis..“ (ed. cit. 1-6).

Andrzej Zbylitowski w dedykacyi do Hyac. Młodziejowskiego, podsk. kor.:

„Za dobrodziejstwa którem znał po tobie,
Zacny podskarbi, dałbym twej osobie
I drogie perły i świetne klejnoty...
. . . uczynności
Twych chcę być wdzięczen, którem z łaski twojej
Znał zawsze, jeszcze od młodości swojej.“
(„Żyw. szlach. na wsi“).

Rozpływa się poeta w pochwałach, które mu wdzięczność dyktuje, czasem z tak ujmującą szczerością, jak Tobiasz Wiszniowski w cześć dobrodziejki swej matki: „zacnej a pobożnej pani, JMpani Doroty Kadłubskiej z Jedlińska“[1]), — a zawsze prawie z wielokrotną przesadą wyrazu, co w powszechnym zwyczaju nabierało cech gładkiego, dworskiego ukłonu. Tem wyraziściej występuje dumna, pełna godności postawa nielicznych poetów, darzących szczerą miłością[2]) — to widać — swoich dobrodziejów, ale nie zdobywających ich sobie za cenę giętkich, służalczych ukłonów. — Takim jest akt wdzięczności Kochanowskiego:

„By mi nie był zostawił ocyjec nic po sobie,
Albo żebym nie umiał przestać na chudobie:
Jednakby mnie Myszkowski Piotr był nie przebaczył,
Który swą choyną ręką podeprzeć mnie raczył.
Nie przeto, żebym przed nim stał w pacholczem kole,
Albo i przy nastołce ciągnął się przez pole, —
Ale żebym wygnawszy niedostatek z domu,
Tym głośniej śpiewał, a nie podlegał nikomu.“

(„Muza“, v. 91—8).

Im więcej wdzięczności i uczucia okazują wybrani, tem więcej goryczy i wiary zawiedzeni w swych nadziejach: Melchior Pudłowski, jeden z tych poniechanych, daje upust żółcia napojonemu sercu:

„Tężem ci się ja kiedyś cisnął, gdzie dawano,
Tusząc, że mię też także przeglądać nie miano.
Próżne moje staranie, próżna praca była,
. . . .

---

[1]) „Pan Bóg pierwszą przyczyną, a tyś drugą była;
Ten zgotował matkę mnie, tyś w cnocie ćwiczyła.
Jak z własnem dziecięciem swem z niaś postępowała.
Dochowałaś słusznych lat, mężowiś ją dała.
A godnemu mężowi....
. . . .
Pomnę zdawna, iż z chuci, którąś ku niej miała,
Nameś się, by swym wnękom, baba zwać kazała.“
(Treny, wyd. Turowski, Dedyk., v. 11—16).

[2]) n. p. Kochanowski objawia szczere przywiązanie do Myszkowskiego:

„Sed me Myscovis tulit arcta compede vortus
Et longe nostris maior amor meritis.“

(Foric., 57, „Ad Musas“).

Co do Janickiego — p. Dodatek 1.

Biedny kąsek, co był spadł z pana mego stołu.
I ten mi odjęt zaraz z nadzieją pospołu."
(Fraszka 176. v. 5—10).

Poeta — prawda — prosił i brał bez skrupułu. ale na korzyść jego powiedzieć musimy, że jeśli prosił natarczywie, to przychodził z pustemi rękoma; jeśli do łaski pańskiej kołatał, obiecywał w zamian królewskie dary. Kochanowski. ofiarowując hetmanowi w. kor. Jerzemu Jazłowieckiemu „proporzec". wynurza takie głębokie przeświadczenie w tej mierze:

„....weźmi też odemnie
. . . .
Proporzec pięknie tkany
I z Helikonu podany
Od córek wdzięcznej pamięci.
Bez których łaski i chęci
Hetman niech jaki chce wstanie —
Sławy trwałej nie dostanie." (por : Dod. II.).

W zamian za garść dobrodziejstw pańskich ofiarowywał poeta udział w nieśmiertelności. Takie się już utrwaliło w epoce Odrodzenia powszechne mniemanie, że jedynie poezya. jedynie i wyłącznie ona w nieśmiertelnej chwały wieniec przystraja głowy zasłużonych, a poeta, że jedynie i wyłącznie on tylko jest szafarzem tej najwyższej łaski i kapłanem nieśmiertelności. Skoro tak. więc żadna łaska pańskich faworów nie wydaje się zbyt wielka, a także łask owych bezinteresowność dziwnie jakoby przybladła. Możni żądali sławy całem sercem, a poeci za złoto rozdzielali sławę. Kwita z doczesnych marności za nieśmiertelne imię, a nawet któż wie, kto czyim dłużnikiem zostawał. Ztąd obok niezrównanej w pochlebstwach przesady zgoła z nią niewspółmierny — o jeden wiersz poniżej — ów wspaniały ton poety. namaszczającego krzyżmem sławy czoło wybrańca. Równy do równego sobie mówi — jeśli tylko równy, — między równymi superlatywy pochwał za wdzięczny uchodzą uśmiech. Posłuchajmy. jak mówi kapłan sławy:

„Przyjmujesz papir. na którym życzliwy
Twe imię sławię i wiekom gotuję..."
(Do JMp. Piotra Myszkowskiego. v. 91—2).

Nie wdzięcznym do śmierci, nie pokornym. a oddanym sługą, ale się nazywa Sebastyan Grabowiecki życzliwym tylko mecenasowi swemu — a może nawet życzliwym...

Janicki w zamian za pomoc obiecuje Sprowskiemu spłacić dług pieśnią:

„Tempus erit, si fata volent, quo teque tuosque
Carmine quod dederit Musa vocata canam."

(v. El. X., v. 49 i n.).

Że był dłużnikiem Janicki — jak wszyscy dłużnicy — trudnym i w tej nawet wypłacie, — wiedział coś o tem Kmita [1]).

Wielkie, bardzo wielkie pojęcie o sobie miał poeta — czy zawsze słusznie, — to znowu rzecz inna. Obok małości serca w znoszeniu cierpień, obok służalczej giętkości karku i nieumiarkowania w kadzidlnianych dymach pochlebstwa — ha, cóż robić, dla chleba — występuje wspaniałe mniemanie o sobie i napuszone poczucie własnego dostojeństwa. Cechy to charakteru niezrównoważonego, ledwo czasami dające się pogodzić i wytłumaczyć, ale indywidualności bujnej, młodej i właśnie dlatego nieumiarkowanej i niekonsekwentnej; — o ile przynajmniej się nam przedstawia tak w autobiograficznych wynurzeniach poetów.

Zresztą istnienie wszystkich wogóle autobiograficznych wynurzeń zrozumieć można w całości jedynie na tle bujnego rozwoju poczucia własnej godności i dostojeństwa. Inaczej zkądżeby mizerny składacz rymów ośmielił się zaprzątać uwagę świetnych czytelników tak podłym, niegodnym ich przedmiotem, jak własna jego osoba. Poeta zaś epoki Odrodzenia, wspaniały w mniemaniu swem szafarz ze skarbca poezyi, dostojny muz kapłan: ten śmie mówić o sobie, a mówi dla potomnych wieków: *ad posteritatem*, — i mówi w przeświadczeniu, że nawet błahy szczegół z jego życia nie jest bez znaczenia. Krzycki cierpiał ból zębów, gdy pisał „Trenodia Valachiae" [2]); Hussowski poemat „Nova et miranda de Turcis victoria" w jednym dniu napisał [3]), a Grochowski ofiarował królewnie Annie żywego zajączka i zaraz ten czyn unieśmiertelnił w poezyi [4]) —

---

[1]) Janicki wszystkie wiersze Kmity kończy zapewnieniami, że gdy się tylko poczuje na siłach, wyśpiewa godnie chwałę swego mecenasa, — ale cóż, zamiarów nie doprowadził do czynu.

[2]) „Cum nuper ex dolore dentium paulum domi decumberem quaerenti qui dolore suo dolorem meum leniret..." (w dedykacyi Thr. Val., Carmina ed. cit., str. 112).

[3]) „Una dies tantum scribendi contigit, una singula rescribi non potuere die" (v. 165—6).

[4]) „Zajączek mały... od autora darowany" (wyd. Turowskiego, t. I., str. 208).

słowem: najbłahsze, najzwyklejsze zdarzenia osadza poeta za godne swoich rymów, — niewątpliwie tylko dlatego, że się jego wieleważnej osoby dotyczą.

Wielce znamiennym u poety, Muz kapłana, jest ogólny brak wojowniczego ducha w autobiograficznych zeznaniach (za to tem ognistszy zapał i sroższy mars na czole w utworach, zagrzewających braci do walki!). Niby to sroży się Joachim Bielski:

„I we mnie grało rycerstwo marsowe:
Już hełm z piórami włożyłem na głowę,
Miecz przypasałem, zwarłem piersi moje
w blaszaną zbroję,
Ale mnie dziewa helikońskiej strony
wstrzymała...“
(Oda XII. do St. Karśnickiego; tł. Syrokomla, IX., 362).

Gdzieindziej jawnie wyznaje

„Ja nie jestem żołnierzem, niemasz na mej błoni
Rumaka, co wiatry goni,
Ni miecza tureckiego o bogatej głowni
Nie znajdziesz w mojej zbrojowni.“
(Oda XVI. do J. Koniecpolskiego; tł. Syrokomla, VIII., 322).

Czy może dziwić wstręt Kochanowskich, Janickich do ostrego miecza i hartownej zbroi? [1]) Ani trochę. Poeta czuł się prawdziwym kapłanem, a jeśli — jak Piótr Zbylitowski — odmawia sobie tego wzniosłego miana:

„Nie jestem wychowaniec bogiń helikońskich,
Anim się wody napił źródeł hypokreńskich,
Anim kapłaństwa godzien Feba uciesznego...“
(Do JMp. Czarnkowskiego, str. 6).

Por. też. Janicki opisuje szczegółowo swe przygody w powrotnej drodze do kraju (Trist., V.: „Petro Miscovio“ od w. 17 i n.):

„Continuis bis sex pluvias sine fine diebus...“

Co do Dantyszka — patrz wyżej.

[1]) Janicki opłakuje i przeklina wojny (Trist., VII.). Kochanowski:

„Me parvo assuetum, lituis procul et procul armis
Ad patrios fas sit consenuisse lares...“
(El.: „Ad Patr. Nidec.“, III., 14, v. 5—6).

— to okrywa się tylko obłudną skromnością; jako kapłan życie swe cenne pragnął poeta oszczędzić dla innych. Czuł się tak bardzo, tak wyłącznie poetą, że nawet o swoich zawodach życiowych, które bywały przecież różnorodne, zrzadka — chyba mimochem napomkni. Sebastyan Grabowiecki n. p., że po śmierci żony został duchownym:

„Zamierzyłeś mi drogę powołania mego,
Bym był pilen twej chwały; z stanu małżeńskiego
Podałeś mi ten zakon...“ [1])

(Rymy duch., XXVI., v. 9—11).

Co innego zupełnie, gdy idzie o upodobania stanowe i głos krwi. Poeta, gdy z roli wyrósł, wraca do niej zawsze sercem i myślami. W żadnym stanie, ani dworskim, rycerskim, ni kapłańskim, nie jest mu tak dobrze i swojsko, jak w miernym, ziemiańskim staniczku [2]). Z radością żegna „fallacem aulam“ i osiada

---

[1]) Zdaniem Hecka (Rozpr. fil. Akad., S. II., t. XVIII., 1901) Stroph. I. „Naenia funebris“ świadczy, że Szymonowicz nie był księdzem:

„Vellem (nisi nefas foret)
Lingua mea profana
Verbum concipere entheum“.

Kochanowski radzi sobie porzucić drogę dostojeństw kościelnych: „bilidi spem pone galeri“ (Foric., 80).

[2]) Piotr Zbylitowski n. p. zaznacza swój charakter ziemianina:

„...Ceres mnie ku sprawie swej wzywa,
I często ręka moja lemiesza dobywa“.

(Do JMp. Czarnkowskiego, kaszt. nakiel., op. c. 6).

Por. też, gdy utożsamiając siebie z osobą gospodarza w „Rozmowie szlachcica polskiego z cudzoziemcem“, tak kreśli koleje swego życia:

„...Mnie, którego Pallas okrągło ćwiczyła
I prędko mnie Marsowi w naukę zleciła,
A zaś rozkoszna Venus, wziąwszy od Bellony,
Prędko mi z swojej łaski nażyczyła żony,
Tych czasów zaś spokojna Ceres mnie zjednała
Ku swej pracy...“

(Ibidem, str. 12).

w rodzinnej wsi[1]), rezygnując z wielkich a ułudnych nadziei, — tu się dopiero prawdziwym panem czuje i człowiekiem wolnym.

Chyba żaden z poetów XVI. wieku nie odtworzył szczęśliwości spokojnego życia wiejskiego z taką szczerością upodobania i nawet wdzięków, jak Andrzej Zbylitowski w dwu swoich utworach: „Wieśniaku“ i „Żywocie szlachcica na wsi“ (por.: Dodatek IV.). Podobno zimą siaduje poeta przy kominku i wertuje rozliczne księgi:

„Czytam z poetów przesławnych,
Co się działo czasów dawnych...“
(„Wieśniak“, v. 245).

jak wynika z szerokiego na parę kart obrazu tej lektury, zabawia się poeta historyą, kronikami: natomiast ni słowem nie wspomina o księdze, która mu najulubieńszą być musiała: o „żywocie“ Rejowym, którą czytał i odczytywał wielokrotnie, — ani wątpić. — Jest „Wieśniak“ i „Żywot szlachcica“ odzwierciedleniem tych upodobań i przywiązania do ziemi, które z krwią płynęły w żyłach poety-ziemianina i któreby chyba z krwią razem z serca wytoczone być mogły, — i dlatego utwory Zbylitowskiego nie autobiograficzne, ale raczej symboliczne, mają znaczenie dla uczuć całej gromady poetów. Indywidualność poety XVI. wieku nie objawia dążności do sokolich lotów, które znaczy zawsze chęć opuszczenia rodzinnego gniazda i zerwania, a choćby rozluźnienia tylko węzłów krwi; indywidualność poety objawia przywiązanie do gleby, z której wzrasta i nie — wyrzeczenie się uczuć swej braci, ale zupełną z niemi zgodność.

Poeta XVI. wieku czuje się dumnym z siebie — i to cecha najwybitniejsza jego indywidualności, — ale wbijają go także w pychę nierzadko czynniki zewnętrzne — choćby znajomość, albo nawet uścisk czyjejś dłoni. Gdy Hipolit Aldobrandini został Klemensem VIII., przypomina sobie raptem Szymonowicz znajomość dawną z obecnym Papieżem:

---

[1]) Kochanowski (El., III., 15):

„Patria rura colo, nunc fallax aula valebis
Nil promissa equidem magna tua illa memor
Libertas gemmarum instar mihi...“ (v. 1—3).

Z tej radości wiejskiego życia płynie wiele pieśni Kochanowskiego, a zwłaszcza śliczna pieśń XII. panny w „Sobótkach“.

„Tunc te mihi affari et frui conspectibus
Manumque concessum est tuam contingere
Haurireque oris mel tuum, affatus sacros.“ [1])

Dantyszek szczyci się listami Korteza („Vita, v. 87—90), Janickiemu wystarcza, że widział w Wiedniu Elżbietę, narzeczoną Zygmunta Augusta [2]) — ale to są najzwyklejsze słabości i słabostki ludzkie.

---

[1]) „Joël propheta“, wstęp, str. 181. Szymonowicz mógł poznać Aldobrandiniego, gdy ten był w Polsce celem wybawienia arc. Maksymiliana z niewoli. (Por.: Heck, I., 337).

[2]) „...vidi, vidi ipse Viennae
Tempore quo pauper divitis hospes eram.“
(Epith., II., v. 9 i n.)

Dr. J. Grzymała Grabowiecki.

(Dokończenie nastąpi).

Czynnik gospodarczy w dawnem prawie wiejskiem.

(Dokończenie.)

Dotąd omawialiśmy jeden sposób nabywania własności przez odziedziczenie i staraliśmy się wykazać, o ile ten sposób ulega zmianom pod wpływem warunków gospodarczych. Z kolei zaś przyjdzie nam oświetlić i drugi sposób nabycia własności przez poddanego — przez nadanie dworu, względnie gromady. Przedtem jednak zwrócimy na jedną kwestyę uwagę. Mylnem jest przekonanie, jakoby dawny chłop polski ubiegał się o wielkie uposażenie gruntowe, jakoby chętnie przyjmował do uprawy puste role i zagrody, pozostałe po zbiegłych poddanych. Jeżeli dzisiaj takie przekonania się wyłaniają, to wynikają one z zauważenia u dzisiejszego chłopa głodu ziemi, wynikają z obserwacyi, że nasz włościanin, czy jadąc do Niemiec, czy też wyjeżdzając za morze, wszelkie oszczędności, w pocie czoła zapracowane, obraca na zakupno ziemi. Tak jednak dawniej nie zawsze było. Zapewne, że w kwitnących gospodarstwach ubiegano się o dziedzictwo, że nieraz długie spory o nie prowadzono, narażając się na pokaźne koszta, gdy jednak szło o objęcie pustki, to na nią kandydatów chętnych nie znajdywano. Każdego bowiem odstraszały zapuszczone i nieuprawione grunta, odstraszał brak zabudowań gospodarczych, skoro na miejscu, gdzie one stać miały, ani kawałka płotu nie było, odstraszał

brak sprzętów gospodarczych i bydła roboczego [1]). Zapewne, że przy osadzeniu nowego gospodarza na puste miejsce, dwór we własnym interesie dawał mu zwrotną zapomogę, zapewne, że dawał udogodnienia w formie zniżonej pańszczyzny, lub nawet zupełnie na pewien czas od niej uwalniał [2]). Te jednak względy nie skłaniały poddanych do obejmowania pustek, owszem, używają oni wszelkich sposobów, ażeby się od ich przyjęcia wywinąć. Prawnie bowiem chłop musiał przyjąć ofiarowany mu grunt, ale zanim do tego przyszło, trzeba było używać tak poważnych argumentów, jak więzienia i bicia. W Łące administrator tamtejszy skłonił Józefa Golonkę do objęcia pustki groźbą 100 kijów, „ażeby Pański skarb nie wakował"; a w Olszówce musiano poddanego przemocą przywieźć na grunt [3]). Przymuszenie było wprawdzie dobrym sposobem prawnym, ekonomicznie jednak nie przedstawiało wielkiego znaczenia, ponieważ rozżalony gospodarz mógł bardzo łatwo użyć ostatniego środka, jaki mu pozostawał — próbować ucieczki ze wsi, pan zaś praktycznie nie mógłby mu w tem przeszkodzić. Ileżto bowiem ludzi musiałby użyć w charakterze strażników, jak bardzo musiałby skrępować poddanego w każdym jego kroku... nieledwie we śnie koniecznem byłoby postawienie straży. Dlatego też chwytano się innego środka, używanego i przy innych sposobnościach, który widocznie dobre oddawał usługi. Oto najbliżsi sąsiedzi ręczyli dworowi za niepewnego włościanina, iż nietylko gruntu nie opuści, ale będzie dobrze prowadził gospodarstwo, że uprawi grunt i będzie się starał o postawienie domu mieszkalnego i budynków gospodarczych. W przypadku niespełnienia tych zobowiązań i w razie ucieczki zobowiązanego, odpowiadali rękojemcy dworowi tak grzywnami, jak i więzieniem, nic też dziwnego, że we własnym interesie mieli wytężoną uwagę i obserwowali każdy krok swego pupila, wtrącając się do wszystkich jego czynności, w razie zaś potrzeby używając pomocy dworu. Zdaje się, że ta instytucya rękojemstwa dobre wydawała rezultaty, skroro słyszymy o częstem jej

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 237, str. 4. Gdzieindziej czytamy: „bo nie było żadnego kołu, tylko wokoło pustka była".

[2]) Castr. Sand., t. 152, str. 1038—48. W starostwie grybowskiem postanowiono: „każdy z nich, który pocznie się na nowym budować placu, temu aby pomogła bez dnia pańskiego do budynku gromada i przez rok jeden od zaczęcia tego budynku żadnej robocizny odbywać, ani czynszu nie dawać i do żadnej nie powinni należeć kontrybucyi".

[4]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 54—5.

stosowaniu, a z drugiej strony nie zauważamy w aktach kar na rękojemców [1]).

Przymuszano zaś poddanego nietylko, „ażeby Pański skarb nie wakował“: szło tu bowiem także o podatki gromadzkie, które rozkładane na poszczególne gospodarstwa, musiały się zwiększać, o ile wiele pustek znajdowało się we wsi. Intencye więc gromady również zmierzają do obsadzenia miejsc pustych, i to albo gromada sama osadza gospodarzy na pustce, lub zwraca się z odnośną prośbą do zwierzchności dworskiej.

Kim obsadzano pustki? W pierwszej linii powołani byli do objęcia pustego miejsca krewni ostatniego właściciela i do nich się też zwracał w pierwszym rzędzie dwór z propozycyą. Dopiero gdy najbliżsi krewni dali odpowiedź odmowną, wtedy zwierzchność dworska uzyskiwała swobodę nadania, uwzględniając przedewszystkiem takich, którzy dawali pełną gwarancyę dobrej gospodarki [2]), przyczem należy zauważyć, iż gdy istniała możliwość powrotu dawnego posiadacza, starano się go sprowadzić. Jak jednak małym skutkiem były uwieńczone te usiłowania, świadczy fakt, jaki zaszedł we wsi Terliczce. W tej to wsi opuścił swój grunt Jan Mazur, i ten to do delegacyi gromady, która starała się go skłonić do powrotu, wypowiedział te charakterystyczne słowa: „gdybym oka zapomniał, to się nie wrócę“ [3]).

Przy tem nadaniu miejsc pustych nowemu gospodarzowi mogły zajść dwie ewentualności. Albo obdarowany uzyskiwał odrazu prawo własności, albo też tylko tymczasowe posiadanie, bardzo niepewne, bo w każdej chwili w razie niespełnienia zobowiązań mógł być z gruntu usunięty. Kiedy w r. 1747 osadzono na miejscu Wiklarki, Krzysztofa Nawarczyka, dodając mu jeszcze szereg zagonów z innej roli, to ponieważ „pańszczyznę słabo odbywał“,

---

[1]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 52. We wsi Olszówce rękojemcy ręczą za Janem Kaczmarczykiem, który zobowiązuje się „zaraz po zbiórkach domostwo swoje należycie ze wszytkim sporządzić i zbudować, wszytko nowe podawać, jako to: krokwie, łaty i gonty, także drzewa nie spruchniałki w ścianę dawać“.

[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 239, str. 46—7. „Ponieważ Michał Czapkowski dobrowolnie ćwierć roli porzucił i że żadnym sposobem dla teraźniejszych cieszkich składek i prowiantów dalej trzymać nie chciał, tudzież dla długów, których on i jego ojciec nazaciągał, ani żaden z jego pokrewnych na tej ćwierci posiadać nie chciał, a że się Antoni Panel tego dobrowolnie podjął, jemu w dziedzictwo oddaje“.

[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 237, str. 4.

odebrano mu gospodarstwo i nadano je Jaśkowi Hnowiakowi [1]). Przeważnie nadawano posiadanie wtedy, gdyby na razie we wsi nie było krewnych ostatniego właściciela, mających prawo bliższości, ale istniała nadzieja ich powrotu i koniecznem wydawało się dotrzymywanie dla nich gospodarstwa. Była to więc instytucya, podobna do opieki nad gruntem, w przypadku istnienia małoletnich dziedziców, stan ten zaś, jaki ona wytwarzała, był tylko tymczasowy, ponieważ w krótszym lub dłuższym czasie — zależnie od zwyczajów prawnych wiejskich — przychodziło do ostatecznego rozstrzygnięcia. Jeżeli właściwie uprawniony powrócił, to po odpowiedniem postępowaniu sądowem przyznawano mu własność, jednak za uprzednim zwrotem wkładów i ulepszeń, jakie tymczasowy gospodarz poczynił w majątku. Jeżeli zaś żaden z mających prawo bliższości nie powrócił, a zwierzchność dworska stwierdziła, że tymczasowy posiadacz jest gospodarzem dobrym, to pozwalano mu się starać o wpis, i oczywiście prośbę jego uwzględniano, co było równoznacznem z nadaniem własności.

Czas, w którym uprawnieni mogli urzeczywistnić swe prawo bliższości i na podstawie skargi odzyskać grunt rodzinny, rozmaicie we wsiach był zakreślony. W kluczu suskim na podstawie ustawodawstwa pańskiego wynosił on 1 rok i 6 miesięcy [2]), w kluczu łąckim, to jest we wsiach Pabkowce, Terliczce, Łukawcu i Łące, przeważnie 10 lat [3]), w Olszówce zaś lat 14 [4]). Najkrótszym był we wsi Świniarsku — na podstawie bowiem rozporządzenia biskupa krakowskiego z dnia 24 sierpnia 1678 r. poddani, którzy opuścili grunt, a w ciągu 4 niedziel do niego nie powrócili, tracą go w zupełności, a nowi posiadacze uzyskują na nim prawo własności [5]). Aby jednak to przedawnienie biegło, zwierzchność dworska była obowiązaną do kilkakrotnego ogłaszania w miejscu publicznem w swych dobrach wezwania, aby zbiegli poddani do gospodarstw swych powrócili. We wsi Olszówce ogłaszano to wezwanie zwyczajnie w dniach świątecznych koło kościoła mszańskiego [6]).

Oczywiście, że pretensye uprawnionych miały miejsce i potem, gdy zaszło przedawnienie, — przeważnie jednak w takich

---

[1]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 59.
[2]) Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18, str. 2743.
[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 237, str. 14.
[4]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 42.
[5]) Arch. kraj. w Krak., dep. 199, str. 253—4.
[6]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 32.

wypadkach ani sąd gromadzki, ani też zwierzchność dworska roszczeń tych nie uwzględniała, wychodząc z założenia, „że te odmiany i spychania, ujmować, nie przyczyniać i niszczyć, zwykły poddanych, przez corruptie i nakłady“. Co więcej, dwór w przekonaniu, iż niesłuszne skargi wnoszą niezdrowy ferment w stosunki wiejskie, nietylko, że nie przyznawał własności skarżącym, ale nakładał na nich kary, a co najmniej zwrot kosztów prawnych przeciwnikowi [1]).

Tymczasowy posiadacz, wygnany na pustkę, chcąc upewnić się w posiadaniu przed upływem terminu przedawnienia i nie chcąc pracować dla obcych, umawiał się z uprawnionymi i zazwyczaj za cenę niższą od szacunkowej nabywał ich prawa do gruntu. Tak to uczynił Jan Głowiak w Łukawcu, który „aby nikomu nie gospodarował, ale na swoim siedział“, kupuje u Ćwioka grunt [2]), podobnie zrobił Wajdzik w majętności suskiej, płacąc Ciborowej 20 złp. [3]). Czasami w takich wypadkach zwierzchność dworska ustanawiała stałą normę, której poddani winni byli się trzymać. W kluczu suskim zamek postanowił, aby uprawnionym wypłacano $^2/_3$ części szacunkowej, $^1/_3$ zaś pozostawała przy gruncie, jako bonifikacya nowego właściciela za wzniesione budowle i wkłady gospodarcze [4]).

Czynnik gospodarczy w posiadaniu gruntu uwidocznia się i przy innej sposobności, uwidocznia się przy dalszej z kolei formie nabycia własności gruntowej — to jest przy kontraktach kupna, sprzedaży, — przyczem nie idzie tu już o formalną tychże stronę, ale materyalną. Dopóki poddany może prowadzić gospodarkę, dopóki spełnia sumiennie wszelkie powinności pańskie i opłaca podatki, dopóty dwór nie wkracza w jego zakres działania. Z chwilą jednak, gdy sterany pracą włościanin, nie może podołać gospodarstwu, a do tego gdy niema dzieci, to grunt już za życia właściciela musi przejść na kogo innego, dochód bowiem pański nie może „osychać“. Następuje sprzedaż gruntu, dokonana za wiadomością dworu, dotychczasowy właściciel przenosi się na komorne do kogo innego, lub też wymawia sobie u kupującego schronienie dla siebie i żony do śmierci. Właściciel sprzedaje wtedy

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 15—16.

[2]) Tamże, str. 6—7.

[3]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 176—7.

[4]) Tamże, str. 275.

dawał grunt, to potomkowie Żurka będą najbliższymi do kupna, i to za cenę o 1/3 niższą od ceny szacunkowej [1]).

Poddani wyrzekali się gospodarstwa nietylko z powodu niezdolności do pracy. Nieraz skłaniają ich do tego długi, którym nie mogą poradzić, chcąc zaś ich się pozbyć, oddają zazwyczaj jednemu z głównych wierzycieli gospodarstwo, który obejmuje zarazem obowiązek spłacenia innych [2]). Dawny właściciel spada teraz do rzędu komornika, wymawiając sobie mieszkanie i pewną ilość zagonów na zasianie żyta i jęczmienia. Takimże komornikiem staje się ojciec, oddający za życia grunt synowi.

Przypatrzmy się z kolei, dla jakich to przyczyn odbierano gospodarstwo i do czyjej kompetencyi należało to usunięcie poddanego z gruntu. Oczywiście kompetentna jest zwierzchność dworska, działająca albo samorzutnie, lub — co częściej się zdarzało — na doniesienie gromady, względnie jej reprezentantów, to jest wójta i przysiężnych. Jako przyczyny służyły: wielkie zadłużenie u dworu, złe prowadzenie gospodarstwa, pustoszenie budynków, wycinanie lasów i nieodprawianie pańszczyzny [3]). Wymieniliśmy tu same przyczyny, mające ścisły związek z gruntem i czynnikiem gospodarczym, pozostawiając na uboczu inne, jak niezgodę w domu, popełnienie zbrodni i t. p. Jak bowiem przy nadaniu gruntu decydującym momentem była zasada, „że pracowity gospodarz, który dba około gruntu swego i budynków nie pustoszy, temu właśnie opisać dziedzictwo“ [4]), tak i przy odebraniu działały te same względy.

Zdawałoby się, że zabrane gospodarstwo przejdzie na pana do jego swobodnej dyspozycyi. Tymczasem rzecz ma się przeciwnie. Gospodarstwo bowiem zmienia tylko nieudolnego właściciela na lepszego, tym zaś nowym właścicielem jest najbliższy krewny, zdolny do prowadzenia samodzielnej gospodarki, który w zwyczaj-

---

1) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 38.

2) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 22—4. „Prawda, że Jan Ząbek, jako z dziada i z ojca, według zapłaty tej roli kmiecej najbliższy jest, ale zawiodszy tak wiele ludzi przez lat kilkanaście na 600 na rolę nabrał i teraz nie wie, jako się z tego wywikłać, płacić niema zkąd, puszcza bratu swemu stryjecznemu dobrowolnie tę rolę kmiecą.“

3) Rkp. Bibl. hr. Branickich. I. str. 259—60. Kiedy poddanemu z Moszczanicy odbierano grunt, to jeszcze obok wymienionych podnoszono dwa względy, że „jadąc do Kęt łańcuch przyrolny zgubił... i niekiedy konia odeszedł bez dania mu obroku“.

4) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 37—9.

nych warunkach byłby i tak powołany do dziedziczenia. Że tak było, to poświadcza zapiska, zawarta w księdze sądowej wsi Świniarska. Tam bowiem, gdy Jakób Kizło nietylko że spustoszył gospodarstwo, ale i urodzaje i sprzęty w karczmie przepił, to grunt nadano jego bratu, Wojciechowi, z obowiązkiem spłacenia ciążących na nim długów [1]).

Inaczej jednak postępowano, gdy zaszedł przypadek konfiskaty majątku, ako karne następstwo za popełnienie przestępstwa. Wtedy bowiem majątek ten przechodził na dwór, który najzupełniej swobodnie mógł nim rozporządzać, przyczem zwyczajnie zaznaczano, że najbliżsi krewni skazanego są wykluczeni od nadania zabranego gruntu. W majętności suskiej, za rządów wojewodziny poznańskiej Anny Małachowskiej, taką ostrą karą obkładano, sprzedających cudze trunki karczmarzy. Między innymi doznał jej Mikołaj Włoch, któremu skonfiskowano nietylko grunta, ale i budynki, sprzężaj i bydło [2]). Co więcej, kara ta spotykała także i tych, którzy wiedząc, że wódka pochodzi z obcej majętności, mimo to ją pili, a nawet i tych, którzy chociaż powiadomieni o istnieniu cudzych trunków u karczmarza, jednak o tem zamkowi nie donieśli [3]). Że zaś za panowania tej to wojewodziny z całą ostrością te przepisy wykonywano, to świadczy o tem fakt, iż jednemu z poddanych za zakupienie 1 kwaterki gorzałki cały majątek skonfiskowano, który na szczęście nie był wielki, ponieważ wspomniany chłop był tylko chałupnikiem [4]). Zdaje się jednak, że to postępowanie tak ostre i bezwzględne miało miejsce tylko za panowania Małachowskiej, ponieważ za jej następców nie przestrzega się tych przepisów tak bardzo, skoro nieraz za przynoszenie obcego trunku do państwa suskiego karano poddanego tylko biciem i pewną ilością grzywien [5]).

Mówiąc o karach za przywożenie i sprzedawanie obcych trunków potrąciliśmy o przymus propinacyjny, jeden z najważniejszych przymusów, jakie istniały we wsi polskiej. Przy tej sposobności wypadnie nam się przypatrzyć, o ile i jakie to przymusy wykonywała zwierzchność dworska w charakterze uprawnień gospodar-

---

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 199, str. 206—7.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 178—179: „więc aby mu zabrano bydła, sprzężaj, budynki i grunt na dyspozycyą zamkową odebrano bez żadnej odwłoki"

[3]) Tamże.

[4]) Tamże, str. 220.

[5]) Tamże, str. 480—1.

czych. Nauka bowiem dzisiejsza stwierdza, że obok przymusu propinacyjnego istniały jeszcze inne, jak młynny, przewozowy [1], ponadto zaś, że dla powiększenia swych dochodów dwór występował wobec poddanego w charakterze jedynie uprawnionego kupca, że w końcu część wytworów, których nie mógł pan na rynkach sprzedać, tę narzucał swym włościanom [2]. Nie zaprzeczamy, że badacze, wypowiadając to twierdzenie, opierali się i znajdywali rzeczywiście poparcie w przekazach źródłowych, znamienną jednak jest rzeczą, że te wzmianki pochodzą z dóbr królewskich, zwłaszcza o ile idzie o narzuty zbożowe [3]. O ile zaś weźmiemy nasze terytoryum, to naprawdę wykształconym i przedstawiającym się jako ciężar, jest tylko przymus propinacyjny. Widzieliśmy, jak srogo karano w kluczu suskim przekroczenie tegoż, przestrzega się go zaś także i w innych majętnościach. Kiedy bowiem w starostwie lipnickiem jedna z poddanek otrzymała od proboszcza z Królówki 2 kwarty wódki, to dzierżawca za karę narzucił na nią beczkę i 6 garncy do zapłacenia [4]. Podobnież w Limanowej szynkowanie obcych trunków było obłożone karą 5 grzywien [5], w Iwlowej zaś 6 grzywnami [6]. Znamiennem jest, że i ten przymus nie wszędzie z całą ścisłością był wykonywany, że można go było obejść drogą układów, zawieranych z dworem. W ten to sposób mieszkańcy Limanowej mogli wyrabiać piwo i sprzedawać je swobodnie do sąsiednich miejzcowości [7], w ten też sposób poddani starostw nowotarskiego i czorsztyńskiego uzyskali wolność propinacyjną.

Co do przymusu młynnego, to nie zawsze trzeba go uważać za uciążenie. Nie trzeba bowiem zapominać, że chłop wolał także mleć swe zboże w rodzinnej wsi, bo było mu blizej, niż wozić je o parę mil dalej do młyna, nawet gdyby tam mniej mąki mu od-

---

[1]) Dąbkowski: „Prawo pryw. polskie", t. II., str. 227.

[2]) Literatura w tej sprawie jest obszerna, ponieważ każdy niemal badacz, choćby ubocznie zajmując się poddanymi, potrąca o tę kwestyę. I tak, mówi o niej Baranowski: „Wieś i folwark", str. 80; Krasiński: „Geschichtliche Darstellung...", str. 133; Sygański: „Arendy klasztoru starosandeckiego", str. 43; Korzon: „Dzieje wewn.", t. I., str. 365, ten nawet wspomina, że za przekroczenie tych przepisów grożono karą śmierci.

[3]) Kutrzeba: „Materyały do dziejów robocizny", str. 105.

[4]) Castr. Sand., t. 155, str. 870—2.

[5]) Arch. kraj. w Krak., dep. 194, str. 182.

[6]) Castr. Sand., t. 151, str. 1142—4.

[7]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 207—11.

bierano. I dlatego też nie zdziwi nas skarga poddanych starostwa krzeszowskiego, którzy użalają się na starostę, „iż ten zniósł im młyn“, tak, że oni „cudzych młynów szukać muszą“ [1]).

Innych przymusów i narzutów nie napotkaliśmy w omawianem przez nas terytoryum. Nawet w majętności suskiej, z której rozporządzaliśmy stosunkowo najobszerniejszym materyałem, nie słyszymy o jakimś przymusie kupowania lub sprzedawania we dworze. Owszem, można w całym szeregu wypadków stwierdzić, że poddani swobodnie wyjeżdżają na jarmarki do Kęt, Lanckorony, Wadowic, a nawet i Krakowa [2]), ażeby tam zakupić potrzebne im w gospodarstwie przedmioty. Widocznie zamek suski wychodził z tego założenia, jak i wyrok królewski z roku 1574, że jest „na woli każdego kupić lub nie kupić“ [3]). Nie możemy bowiem zakazu dworskiego z r. 1723 [4]), zabraniającego kupować i sprzedawać bydło w miejscowościach sąsiednich, uważać za przymus, mający na celu powiększenie dochodów zamkowych. W tym bowiem wypadku zakaz ten wypłynął z obawy zawleczenia zarazy bydlęcej do klucza suskiego, przeciwko czemu słusznie musiał się dwór bronić. Nie zaprzeczamy jednak, że co do bydła roboczego i w naszych majętnościach istniały pewne ograniczenia sprzedaży, ponieważ tu wchodziła w grę ważna kwestya robocizny i jej odbywania. Prawdopodobnem więc jest, że jak gdzieindziej [5]), tak i u nas urzędnicy gromadzcy musieli baczyć, ażeby poddany lekkomyślnie wołów i koni nie sprzedawał, bez zakupienia innych na ich miejsce.

Załatwiwszy się z tą kwestyą, przypatrzmy się i prawu karnemu, czy i w niem czynnik gospodarczy nie zostawił swych śladów. I rzeczywiście — i tam je znajdujemy. Wystarczy przypatrzeć się postanowieniom Anny z Lubomirza Wielopolskiej [6]), a później Małachowskiej, tak srogo karzącym kradzieże drzewa, paszy, wy-

---

[1]) Castr. Sand., t. 153, str. 761—6.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 326. W Krakowie kilku poddanych kupiło większą ilość skór, którą potem odsprzedawali częściami garbarzom i szewcom w Suchej i w okolicy. Mamy również ślady, że chłopi sami kupują sól w Wieliczce.

[3]) Kutrzeba: „Materyały do dziejów robocizny“, str. 105, i Baranowski: „Księgi referendarskie“, str. 65: „wolno każdemu przedawać swe własne, jako kto może“.

[4]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 326.

[5]) Pawlik: „Polskie instruktarze ekonomiczne“, str. 166—7.

[6]) Chomentowski: „Materyały do dziejów robocizny w Polsce“, str. 411—6.

starczy przeglądnąć szereg wyroków, zawartych w księdze olszowskiej i suskiej, ażeby nabrać tego przekonania. Czyż zresztą sam fakt zamiany kary śmierci — tak często spotykany — na karę pieniężną, nie mówi dowodnie o tem! A i przy mniejszych przekroczeniach chętnie wymierzano karę pieniężną, którą z całą bezwzględnością ściągano, nie wypuszczając skazanego z więzienia, zanim jej nie wypłaci [1]). I w inny sposób sędziowie wiejscy pamiętali o dochodach pana. Oto przy ugodach, zawieranych przez poddanych przed sądem, nakładano na obie strony obowiązek zapłacenia pewnej ilości gorzałki, którą oczywiście pobrano z karczmy czy browaru pańskiego, przez co „prowent" pański się podnosił [2]). Znamiennem jest również, iż czasami kara nasza przy pewnych przestępstwach zawiera wpływ czynnika ekonomicznego. Kiedy bowiem w r. 1699 poddanego Lenarcika skazano za kradzież zboża z pola, to obok innych kar „w niedzielę przez całe nabożeństwo powinien trzymać na szyjej dwa snopy zboża, za szyję w kunie siedząc", podobną zaś karę poniósł i pachołek, który mu w kradzieży pomagał [3]), I w innych przypadkach podobne kary napotykamy. W tym samym bowiem roku 1699 skazał sąd wójtowski państwa suskiego za kradzież kós na trzymanie ich w ciągu nabożeństwa na szyi [4]), a czterech Karczów za długoletnią kradzież sera i naczyń z szałasów ukarano siedzeniem w kunie, „ser i faski na szyjach trzymając" [5]).

* * *

W studyum naszem zajęliśmy się głównie stosunkiem, jaki łączył poddanego z gruntem, i na tem tle staraliśmy się wykazać, że czynnik gospodarczy tak wielką rolę odgrywa w prawie wiejskiem. I rzecz to zrozumiała, skoro we wsi jedynie uprawa roli jest dobrze wykształcona, skoro około gospodarstwa całe życie poddanego się toczy, skoro on pragnie u schyłku swych pracowitych dni na zagonie rodzinnym umierać. Nic też dziwnego, że ustawodawstwo wiejskie jest odzwierciedleniem wiernem stosunków agrarnych, bo nimi przeważnie się zajmuje, pozostawiając wiele innych kwestyi

---

[1]) Tak postępowano w Limanowej i Suchej.
[2]) Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18, str. 276—7.
[3]) Tamże, str. 50—1.
[4]) Tamże, str. 52.
[5]) Tamże, str. 54.

na uboczu. Mamy wprawdzie już i zaczątki innego prawa, wyradzające się na gruncie wiejskim, — zaczątki prawa handlowego [1]. Nowe te normy prawne, będące jeszcze w zawiązku, łączą się ściśle z przedsiębiorstwami drzewnemi, jakie w pierwszej połowie XVII. wieku w państwie suskiem powstały. Poddani, prowadzący je nie bez poparcia dworu, obejmują siecią swej działalności nietylko majętność suską, ale udają się na zakupno materyału drzewnego do pobliskich wsi i miasteczek, wchodząc przy tej sposobności w stosunki prawne nietylko z mieszczanami, ale i z poddanymi innych majętności. Jest to dowód, że przecież i na zewnątrz w praktyce zaczęto uznawać zdolność prawną chłopa polskiego, skoro nie wahano się wchodzić z nim w związki handlowe.

Ustawodawstwo to jednak handlowe, z którego mamy dochowany tylko jeden artykuł o karygodności podkupywania, zawdzięczający swe powstanie dworowi, to tylko mała próba, to chwilowe dopasowanie się do warunków, naprawdę zaś charakter społeczeństwa wiejskiego jest przeważnie rolniczy [2], uwzględniający tylko grunt i pracę na roli. Bo przecież i ci przedsiębiorcy drzewni zajmują się skupywaniem i handlem drzewa tylko ubocznie, głównem zaś ich zajęciem — to praca na roli.

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18, str. 273—4. Dwór naznacza na podkupującego kary na zamek 20 grzywien, a dla kościoła 5 grzywien.

[2]) Stwierdza to i prof. Ulanowski („Wieś polska“, str. 8).

Dr. Józef Rafacz.

Mieczysław Romanowski.

(ZARYS KRYTYCZNY).

(Na podstawie źródeł rękopiśmiennych).

(Dokończenie.)

V.

Powieść w połowie dziewiętnastego wieku stała pod znakiem J. I. Kraszewskiego. I było to zupełnie słuszne. Jego płodność pisarska, różnorodność tematów, barwność obrazowania, wydoskonalona technika — wszystko to sprawiło, że zaniedbana u nas do końca XVIII. w. dziedzina twórczości poczęła podnosić się dzięki jednemu pisarzowi, znajdować poczytność i budzić zainteresowanie. Tem samem wyparła z dworów i dworków polskich lekturę francuską, poczęła torować tam drogę myśli swojskiej, uczyć i pouczać o sprawach i dążeniach własnych. Miał wprawdzie Kraszewski poprzedników w autorze „Dwóch panów Sieciechów", w Bernatowiczu, Skarbku, Bronikowskim, Tańskiej i przewodniczce wszystkich Maryi ks. Wirtemberskiej, ale chociaż ci pisarze wyprzedzili go czasowo, to mimo to on dopiero rzucone przez nich myśli rozwinął, wprowadził w społeczeństwo i umiejętnie w niem pielęgnował. Umiał wyśledzić bicie tętna narodowego, pojąć, że jak poezya jest wzniosłą krainą fantazyi, dostępną dla wybranych — tak powieść za strawę codzienną ma służyć wszystkim. Jest w tem pewne cofnięcie się po za walory sztuki i piękna, nagięcie literatury

do celów utylitarnych, ale wymagały tego czasy, kiedy powieściopisarz miał być mentorem czytelników, miał ich kształcić, oświecać, okazywać niejedno w prawdziwem świetle. Nie życie tradycyą tylko, nie wznawianie przeszłości, tak dzielnie przez Rzewuskiego szerzone, ma zaprzątać uwagę żyjącego narodu. Musi on baczyć na teraźniejszość, ją rozumieć i znać. Z tych założeń wychodząc Kraszewski, nie poszedł za wyż wspomnianymi autorami, ale obrał sobie za cel krzewić myśl zdrową pojęć współczesnych. Na straży haseł chwili stanał jako strażnik niezłomny, tendencyę szczytną wysuwając zawsze na plan pierwszy.

Wziął od niego te wskazania Zygmunt Kaczkowski, pisarz o wielkim polocie i szerokim rozmachu, zbliżający się do autora „Listopada". Obok poczytnej i rozchwytywanej „Bitwy o chorążankę", lub sławę mu gruntujących „Olbrachtowych rycerzy", przedstawiał on młodzież galicyjską przed rokiem 1846 w swej „Dziwożonie". Karłowacenie społeczeństwa i coraz większy wśród niego rozkład wykazywał na wzór „Chorób wieku", w „Wnuczętach", a w „Bajroniście" wyszydzał zbytni sentyment, poezyę życiowa, równająca się niedołęstwu i próżniactwu. Lekarstwem na to miała być praca wytrwała i sumienna, taka, jakiej przykłady są w „Rozbitku".

Nie inna drogą poszedł piszący w tych czasach Jan Zacharyasiewicz. Wyrosły wśród dwu ciągle zwalczających się obozów: polskiego i ruskiego, przychodzi do przekonania, że tylko zgoda można dojść do celu jakiegoś i wyniki pracy osiągnąć. W „Świętym Jurze" zaleca też pojednanie obu narodowości, a „W przededniu" okazuje się zwolennikiem polityki, opartej na siłach własnych, nie liczącej na niczyją pomoc. W pogladach swoich zeszedł się nieraz z Kraszewskim i Kaczkowskim, szczególniej zaś widoczne to w „Marcyanie Kordyszu", który jest jakby oddźwiękiem „Poety i świata", oraz wspomnianego już „Bajronisty".

Ci trzej pisarze, stojący u szczytu sławy w latach przedpowstaniowych i dzierżący berło polskiej belletrystyki, nadawali kierunek całej ówczesnej powieści, w której górowała ponad wszystkiem tendencya i moralizatorstwo (Dzierżkowski). I może to było szczęściem dla pokolenia, które wykarmione pieśnią poetycką nie umiało żyć realnie i dopiero z literatury dowiadywać się musiało, jak postępować należy. Może i dobrze, że ta gałęź piśmiennictwa zrywała już z sentymentem w życiu i dawała kierunek jakiś myśli i czynom. Przynajmniej choć w części odrywała entuzyastów i zapaleńców od fantastycznych mrzonek, choć w drobnej mierze niosła

otrzeźwienie i równowagę. — Można też z powodu tego owym krzewicielom strawy dobrej darować, że artyzmu w sobie wiele nie mieli, że formę i kompozycyę nawet dla treści poświęcali. Zdrowie narodu było w tej chwili ważniejsze, niż zwycięstwo sztuki.

Od ogólnego typu powieści tendencyjnej niedaleko odbiegły „Projekta“ i „Wczoraj“ Mieczysława Romanowskiego. Ogólne wady powieściopisarstwa z tego czasu, bez żadnej korekty wcieliły się w te dzieła, które nie literackiemi być miały, ale społecznymi przejawami myśli autora. Były pisane w przeddzień dziejowej burzy, więc zawarły w sobie ową targaninę uczuć, jaką przechodziło całe społeczeństwo, a wyraziły ją tak trafnie, że do dziś mają one i na zawsze mieć będą wartość dokumentu epoki.

„Projekta“ — to „powieść współczesna“, rozstrzygająca pytanie, co na ustach wszystkich pod lata sześćdziesiąte było: czemu oddać pierwszeństwo: czy handlowi i przemysłowi, czy też ziemi, z którą naród polski zrósł się od swych początków. Nie mylimy się, zdaje się nam, skoro przypisujemy genezę powieści Romanowskiego książce Ksawerego Godziemby Godebskiego p. t. „Duch i dążności wieku“. Wydana na kilka miesięcy przed napisaniem „Projektów“, drukowana w tłoczni Zakładu nar. im. Ossolińskich, z której to oficyny wychodził również „Dziennik Literacki“, organ zasilany stałem współpracownictwem Romanowskiego, — stała się przedmiotem żywej dyskusyi. Że znaną była autorowi „Dziewczęcia z Sącza“, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, tem bardziej, iż kilka jej ustępów widocznie niemal wpłynęło na układ treści i kształtowanie osób. To, co Godebski mówi o młodzieży (str. 62), lub o arystokracyi, o tej — jak się wyraził Romanowski — „logice heraldycznej“ (str. 67), przeszło w fabułę powieści. Naturalnie, że teoretyczne wywody, wypowiedziane w „Duchu i dążności wieku“, dla romansopisarza były tylko kanwą, której oczka przezierają w miejscach ledwo kilku. Nie idzie nam zresztą o zestawienia, ale o wskazanie w ten sposób, że to, co było „na czasie“ dla społeczników, takiem też było dla belletrysty. Inaczej mówiąc, wykazujemy, że w powieści swojej był Romanowski „pisarzem chwili“, który w lot łowiąc daną kwestyę i zaprawiając ją tendencyą najbardziej odpowiednią, swojem zdaniem, puszczał w świat w formie lekkiej lektury.

Dwa obozy, zwolennicy reformy handlowo-przemysłowej i typowi rolnicy stanęli naprzeciw siebie w „Projektach“. Pan Walenty i Żaba, łatwowierni szlachcice przyłączają się do księcia Hieronima, który łudzi swych sąsiadów znakomitą operacyą han-

dlową. Temu obozowi przeciwstawia się młody, wytrawny gospodarz, pan Jan. Mimo sprzeciwu jego szlachta idzie za księciem Hieronimem. Jan został okrzyczany radykałem, stracił względy p. Walerego, o którego córkę, Józię, starał się, a także naraził się młodemu p. Żabie, z którym miało nawet przyjść do pojedynku. Ale od czegoż sympatya autora dla bohatera? Okoliczności składają się naturalnie znakomicie. Znajoma pułkownikowa jedna p. Walentego z Janem, p. Żaba tchórzy przed pojedynkiem, a oświadczyny jego o Józię rozbija Franciszka Leoni, z którą młodzieniec utrzymywał kilkuletnie stosunki. Syn księcia Hieronima, Artur, choć także kocha się w Józi, rezygnuje ze swego uczucia dla przyjaźni Jana. Kiedy już wszystkie przeszkody usunięte i został jedynie radykalizm Jana, co przejawił się w proteście przeciw projektom księcia, — szczęśliwy traf losu i od tych posądzeń go uwalnia. Pomysły książęce zawiodły, szlachta potraciła całoroczne plony, zmuszona sprzedać je za pół darmo: rozum i trafność przypuszczeń Jana okazały się w całej pełni. Partya rolnicza, reprezentowana przezeń, bierze górę, a bohaterowi nie brak do szczęścia niczego więcej, prócz ręki Józi. Otrzymuje więc ją, a z tem i to zadowolenie, jakiego dlań autor pragnął.

Treść szczupła, przeprowadzona sucho, miejscami rozciągana nielitościwie, nie była punktem troski ze strony jej twórcy. Uczucia serdeczne bohatera, jego losu przeciwności i wynikłe ztąd smutki, to tylko ta ozdoba, która dozwoliła „Projektom" nazywać się powieścią, a nie artykułem, a tem samem dała autorowi możność wejść z jego poglądami tam, gdzieby teoretyczne rozważania tej kwestyi nie doszły. To też poza fabułą romansu, traktowanego drugoplanowo, jest Romanowski bardzo szczodry w wypowiadaniu swoich poglądów na zadania szlachty. Wtręty, nie należące bynajmniej do samej powieści, a tolerowane temu lat pięćdziesiąt w utworach belletrystycznych, okazują jasno jego stanowisko, oświadczające się stanowczo za rolniczym zawodem, a potępiające wszelkie eksperymenty handlowo-przemysłowe. Rola, to jedyne pole działania dla obywatelstwa polskiego, to łącznik z tem ukochaniem, które w Polakach zawsze było i jest celem każdej rodziny. Dlatego to też występuje tak ostro Romanowski przeciw sprzedawczykom, którzy, według niego, popełniają największą zbrodnię, gdyż wyzbywają się nietylko terenu pracy, — ale również i tradycyj, z tym terenem związanych. Przeciwwagą wszelkich spółek handlowych winne być związki rolnicze, do których mu-

siałby być dopuszczony każdy posiadacz ziemi, bez względu na stan i pochodzenie swoje.

Treść „Projektów“ i rozważana w nich kwestya — to plany pokojowe, snute w cichości i obliczone na dalszą metę. Nie czas był ku ich rozprowadzaniu, kiedy „zbliżała się era gromów i burz“. Zauważył to sam Romanowski i z gorączkowym niemal pośpiechem rzucił się do pisania swej drugiej powieści p. t. „W c z o r a j“. Weszły do niej wszystkie zagadnienia roku 1861, tego roku, co brzemienny był w następstwa, a zakończył się narodową tragedyą. Od wypadków lutowych w Warszawie, Sejmu galicyjskiego i pierwszych wyborów, aż po przygotowania tej cichej pracy, której nici tajemne złączyły się kiedyś w Rząd Narodowy — wszystko to znalazło swoje uwzględnienie w tym jedynym utworze, co w miarę wypadków łowił je i kilkoma pociągnięciami pióra szkicował dla potomności. Tendencya i tu wybiła się na plan pierwszy, jedność i zgodę zalecając pracownikom jutra. Tajemnicza postać Sokoła, emisaryusza, co zjawił się jako zwiastun wielkich wypadków, jest niby uosobieniem tego ducha, który wiał do kraju z emigracyi. Nim owładnięci i działający na sposób bohatera powieści — to idealni ludzie, wymarzeni przez Romanowskiego na czasy przełomowe. Zygmunt, cichy, pracowity, dążący do związania się z ludem, rozumiejący go i myślący nad poprawieniem jego doli, — jest tym, którego Sokół darzy wyłącznem zaufaniem. Na takich ludziach ma spocząć cały trud dążenia do wyzwolin. Ich będzie zwycięstwo ponad krzykactwo przeciętnych panów Hilarych, ponad pozorny rozum manekinów w rodzaju Adolfa. Idealne ukochanie każdej sprawy i doszukiwanie się tego ideału we wszystkich i we wszystkiem — oto ich cecha. Ale idealizm ten nie jest odległy od rzeczywistości, lecz owszem na jej gruncie wyrosły. Gdyby tak nie było, obracałby się w sferze mrzonek nieziszczalnych, rozpływałby się w sentymentalizmie, potrącałby o gwiazdy. Byłby czemś, na czem żadnej pozytywnej roboty oprzeć nie można. Zygmunt z „Wczoraj“ jest właśnie zaprzeczeniem takiego romantyka życiowego, a przedstawicielem ideo-realisty. Jego stosunek do gromady, zajęcie się rozszerzeniem myśli narodowej, gotowość złożenia osobistych uczuć na ołtarzu miłości ogółu — to dowody, że nieobcem mu było życie, co przez poświęcenie jednostki rzuca podwaliny egzystencyi bytu narodowego. Z drogi tej sprowadzić go nie zdoła nic, choćby nawet najgłębsze i najsilniejsze przywiązanie do drogiej osoby, skoro w sercu jej nie widzi tych pierwiastków, które są zadatkiem szczęścia w tem szerszem, jego własnem pojęciu. —

Dopełnieniem też takiego mężczyzny nie może być kobieta o pokroju próżnej Honorci, ale rozumna i pojmująca zadanie kobiety-Polki, Kasia. Nic też dziwnego, że planowane małżeństwo z pierwszą nie przyszło do skutku, zaś węzły małżeńskie połączyły Zygmunta z drugą. — Wspólna ich praca miała budować gmach przyszłości.

Treść, faktura i podłoże tendencyjne tak „P r o j e k t ó w“, jak i „W c z o r a j“, zmuszają krytykę do traktowania tych powieści na tle z przed pół wieku, a sądzenie kryteryami, stosowanemi do tej belletryski, która za cel miała nie walory artystyczne, ale wzór, gotowy szablon pojęć społecznych. Jeśli z tego stanowiska rozważamy oba utwory Romanowskiego, to przyznać im musimy oryginalność w doborze tematu. Ani kwestyi rolnej w stosunku do handlu i przemysłu nikt ze współczesnych powieściopisarzy podobnie nie ujął, ani żaden twórca nie pokusił się o zobrazowa-1861 roku w niespełna kilka miesięcy po dokonaniu się faktów, co za treść „W c z o r a j“ posłużyły. To wyłączna własność Romanowskiego, usprawiedliwiająca już tem samem, że jedyna, braki i usterki wynikające ze zbyt pospiesznego przenoszenia historyi do literatury. A braki te, jeśli o ujęcie społecznej strony tych powieści idzie, dadzą się sprowadzić przedewszystkiem do zupełnego zatracenia wszelkiej perspektywy. Jest to zrozumiałe, dlaczego się tak stało. Autor, świadek i uczestnik opisywanych wypadków, zadowalał się kilku słowami w określeniu pewnych sytuacyj, licząc na to, że i czytelnik równie, jak on, resztę odtworzy z pamięci. Może też tak współcześni dośpiewywali sobie myśl autora. Dla nas dziś są to rzeczy tak odległe, że wszelkie niedomówienia takiemi zostają. Sprawy, przez czas w głąb usunięte, mniejszemi i mniej ważnemi zdają się wobec tych, które dalszą kontynuacę miały aż w lata sześćdziesiąte czwarte. Tymczasem w szkicu „Wczoraj“ na plan pierwszy wybijają się n. p. wybory do Sejmu, a ledwo zaznaczona jest ta praca konspiracyjna, która przecie w latach tych podążała szybkim krokiem naprzód.

Gorszą rzeczą są błędy kompozycyjne samego romansu. Tu uderza przedewszystkiem nieumiejętność różnoplanowego postawienia osób, zależnie od znaczenia, jakie mają w akcyi. U Romanowskiego wszyscy są bohaterami, stojącymi w jednej linii, a różnica między nimi jest ta tylko, że główne osoby częściej zjawiają się i więcej się o nich mówi, inne, poboczne, rzadziej zajmują uwagę twórcy. O jakiejś artystycznej proporcyi mowy nawet niema.

Budowa sama powieści szwankuje bardzo wskutek tego, że materyał rozrasta się dopiero pod piórem autora, i to w ramach.

naznaczonych z góry. Dlatego też zdarzyło się, że dla urozmaicenia akcyi n. p. „Wczoraj“ wtrącono najniepotrzebniej figurę Adolfa, by później, wycofawszy go, wprowadzić już pod sam koniec Juliana dlatego tylko, by przecie módz wydać za kogoś opuszczoną Honorcię. Takie usterki niedopuszczalne były nawet w powieści przed laty pięćdziesięciu.

Skoro o ludziach mówić mamy, to po za tem zastrzeżeniem, że większość ich, to figury papierowe (z „Projektów“: p. Żaba, książę Hieronim, Artur, Walery; z „Wczoraj“: Adolf, Julian, Honorcia, Ciocia), — musimy stwierdzić, iż brak w nich wszelkiej namiętności, a tem samem bądź to jakichś większych konfliktów z otoczeniem, bądź też z własnem *ja*. Rzecz taka jest bardzo dogodna dla autora, gdyż pozorne starcia pojęć łatwo przyprowadza do porządku, a akcyę rozwija równo, bez zatrzymywania się dłuższego nad zagadkami psychologicznemi. Typowym przykładem tego bardzo proste wyprowadzenie Zygmunta z roli narzeczonego Honorci, a później niewytłumaczony wpływ jego na jej przemianę duchową.

Charakterystycznem dla Romanowskiego, jako powieściopisarza, jest także zupełne oderwanie akcyi od tła, na którem się ona rozwija. Napróżno szuka czytelnik jakiegoś sztafażu, podmalowania: ledwo zaznaczone, że to dzieje się na wsi, a to w mieście, to w dworku szlachcica, a to księcia. Po za tem nic. Natura jakby nie istniała dla autora. Nieczuły jest na nią zupełnie, a raczej uważa ją jako niepotrzebną do wykończenia dzieł swoich, dla nadania im życia które przez opisy przyrody użycza powieściom tego kolorytu, co wyróżnia je od suchych sprawozdań i streszczeń, a da się porównać z barwnością obrazu w przeciwstawieniu do fotografii, choćby najlepszej. Oklepane to już rzeczy, że w każdym romansie muszą być wschody i zachody słońca, opisy pól i lasów, słoneczne południa i księżycowe noce. Lecz mimo to, jeśli brak tego, zaraz to odczuć można. Wokół ludzi niema świata, co ich w rzeczywistości otacza i oni sami dziwnie jakoś wyglądają, rzuceni na tło szarych kart książki. Są wyrwani z środowiska, w którem żyją i oddychają. Takie też wrażenie odnosi każdy, ktokolwiek czyta szkice Romanowskiego. I to jest powodem, że ma się je raczej za próby w romansopisarstwie autora „Dziewczęcia z Sącza“, a nie za dzieła sztuki, które po odrzuceniu tendencyi i rzeczy ściśle związanych z współczesnymi wypadkami — możnaby postawić na równi z jego „powieściami poetyckiemi“. Najostrzejszy atoli krytyk zgodzi się na własny sąd Romanowskiego, który przy końcu

„Wczoraj“ zastrzegł się, że dzieła swego nie pisał dla artyzmu, więc i pretensyi nie miał w tym kierunku, — a w „Projektach“ kazał doszukiwać się tylko „paru miejsc cichych, paru komicznych; trochę łez, trochę szyderczego śmiechu“.

Jak pierwsze zastrzeżenie da się stwierdzić, — tak drugiego dażenia autorowi odmówić nie można. — Powieści jego — jak się sam twórca wyraził — są szkicami, „rzuconymi ot tak“, kreślone niezupełnie bez wprawy i niezupełnie pozbawione wartości, ale też nie pozwalające niczego więcej, prócz przeciętności, spodziewać się, gdyby był autor dalej szedł w tym kierunku. Uchroniły go od tego czasy, w które rzucony, musiał dać raczej wyraz gorącemu sercu, niźli poświecić się spokojnej pracy romansopisarza [1]).

VI.

Poświęcenie i ofiarność, która stworzyła legiony polskie, walczące pod wodzą Napoleona, miały urok dziwny dla następnych pokoleń. Długo przechował się w popularnym śpiewniku „Marsz Dąbrowskiego“, długo o nim samym, oraz o poecie legionów, Godebskim, snuły się wspomnienia. I starano się historyę tego nieśmiertelnego zastępu przekazać potomności, uchwycić zdarzenia,

---

[1]) Pośrednio do belletrystyki należy szkic wycieczki p. t. „Kilka dni w górach Pokucia“ („Dziennik Literacki“, 1857, Nr. 138 i n.). Piękne opisy przyrody, żywe odczucie natury i dobra obserwacya znamionują tę pracę. Element humorystyczny, na wprowadzeniu którego tak zależało poecie (ob. list do siostry z d. 30 listopada 1857, cz. I., str. 50), uwydatniony w śpiącej Małance, co dała wyjeść psu przygotowaną dla wycieczkowców wieczerzę, oraz w Baranie, miłującym się w sarnie, — jest może najsłabszą stroną artykułu. Najsilniejsze wrażenie sprawia opis grobu Kondralczuka, owej mogiły, zasypywanej gałęzmi, w których płomieniu miała się czyścić dusza grzesznika. Całość ma charakter dzisiejszych „korespondencyj z letniska“.

Literackich kryteryów nie przykładamy do ludowej powiastki p. t. „Wójt Matwij z Tatarowa“ (druk. w „Dzwonku“, t. III., z r. 1860, str. 21—30). Zdrowa treść i gładkość opowiadania wyróżniają ją dodatnio z szeregu prac, podanych przez Redakcyę.

żywe jeszcze w pamięci współczesnych, i na podstawie ich opowiadań odtworzyć całość od zawiązków samych, aż po smutny koniec — zsyłki na San Domingo. Jakoż już w roku 1820 „Wanda“, tygodnik polski, wychodzący w Warszawie, pomieścił „Historyę Legii pierwszej“, ogłoszoną z rękopisu, pozostałego po generale W. Dąbrowskim, a znajdującego się w Bibl. Tow. Przyj. Nauk. Naturalnie, że na skrypcie tym, jak zresztą na wszystkiem, co z początkiem XIX. wieku pisane było, musiał znaleźć się wiersz Wolskiego:

Jak Xenofon, jak Cezar, jak Fryderyk drugi,
Ta ręka, którą walczył, pisał swe wyprawy —
Tak Dąbrowski Auzońskich Legionów usługi
Zebrał wiernie w tej księdze dla narodu sławy.

Uwagi Dąbrowskiego, spisane nieco stronniczo, zbyt bowiem blizkim był on tych wypadków, — dały początek bezimiennemu artykułowi w „Mrówce Poznańskiej“ (t. I., z r. 1821), w którym rozpatruje nieznany autor powiedzenia twórcy legionów, a przedewszystkiem oświetlenie stosunków, w których ówcześnie wojsko polskie znajdować się musiało. — Tak rozpoczęte badania skłoniły redakcyę „Przyjaciela Ludu“ do pomieszczenia w swych łamach „Pamiętnika historycznego legionów polskich posiłkowych przy armiach Rzeczypospolitej francuskiej we Włoszech i nad Renem“ (r. 1844, XI., 1, str. 298 i n.). Rzecz, napisana przejrzyście, podzielona dla oryentacyi czytelnika na lata, była aż do chwili wydania „Dwu ustępów z rękopisów pozostałych po jenerale Kazimierzu Małachowskim“ („Czas“, dodatek miesięczny, Kraków 1856, rok I., t. II., str. 660—696) jedynem dokładnem źródłem informacyjnem o losach Polaków we Włoszech.

Przystępując do skreślenia swojego szkicu o „legionach polskich“ („Dziennik Literacki“, 1861, Nr. 17—55), nie znał, zdaje się, Romanowski owych źródeł. Stwierdzić nie można, by przejął tok opowiadania pamiętnika Dąbrowskiego, lub zastosował się do notat „Mrówki Poznańskiej“. Nie widać też korzystania z wiadomości, zawartych w „Przyjacielu Ludu“, i ciekawych spostrzeżeń Małachowskiego, odnoszących się do wyprawy części legionów polskich na wyspę San Domingo w r. 1803. — Materyał ten wziął on z drugiej ręki, z historyi obszerniejszej, i dlatego w stosunku do samych legionów miał go zbyt mało, jak na osobne studyum. Chęć jednak stwarza wszystko. Luki, jakie były, zapełnił więc

przygodny historyk dziejami współczesnemi, wciągnął do pracy swojej politykę i zabiegi polskie od 1790 roku jeszcze, opowiedział całą kampanię 1792 r., potrącił o Sejm w Grodnie, dłużej zatrzymał się przy powstaniu Kościuszkowskiem, oblężeniu Warszawy i bitwie pod Maciejowicami — przypomniał trzeci rozbiór, by przejść wreszcie do starań patryotów na gruncie francuskim, włoskim i tureckim. — Za zasługę należy mu poczytać przedrukowywanie mało znanej ogółowi polskiemu korespondencyi Dąbrowskiego z Dyrektoryatem francuskim w celu utworzenia legii, konwencyi, zawartej między administracyą generalną Lombardyi, a naszym generałem, oraz odezwy jego do rodaków, z apelem, by wstępowali w szeregi nowo się formujące. Rzeczy to ciekawe i wiele mówiące same za siebie.

Od pokoju w Leoben (1797) zaczyna się tok działań legionów, zrażonych już u samego początku stosunkiem Napoleona, który używał ich raczej ku tłumieniu rozruchów wewnętrznych, niżli tak, jak przystało na wojowników, w otwartym boju. — I znów następuje charakterystyczny i zajmujący niezmiernie list Dąbrowskiego do Bonapartego, w którym dowódca legii upomina się o prawa Polski. Odpowiedzią nań — wykrętny bilecik przyszłego cesarza Francyi, mówiący ogólnikowo o tem, że „życzenia wszystkich przyjaciół wolności są za dzielnym polskim narodem i tylko od czasu i przeznaczenia zawisło powrócić mu wolność i niepodległość“. — Mając takie oświadczenie, począł Dąbrowski „przemyśliwać, czyby nie można ratować Polski drogą dyplomatyczną“ (str. 289). „Porozumiał się zatem z Bonneau w Paryżu i przesłał Bernadotiemu notę, która go wzywała, aby poczynił kroki u dworu wiedeńskiego względem restauracyi Polski“ (tamże). Wszystko to spełzło wkrótce na niczem, oczy bowiem Europy skierowały się na Egipt, gdzie pod piramidami walczył Bonaparte o sławę oręża swego. Legie przez ten czas „w nadziei lepszej przyszłości, w nadziei powrotu z bronią do Ojczyzny — czekały cierpliwie, i zarabiały żniwem dla utrzymania się“ (str. 290).

Opis znanych zkądinąd walk Napoleona we Włoszech, powtórzony w pracy Romanowskiego, zbyt mało jest oryginalny, by w książce, nie zajmującej się historyą, na streszczenie zasługiwał. Może nas tylko ciekawić pogląd autora na legiony, jako takie, który streścił się w końcowem zdaniu szkicu. Za największą ich zaletę uważa Romanowski to, „że bohaterstwami swemi utrzymywały i podnosiły ducha w niedawno rozszarpanym narodzie“. Ponadto widzi w nich „jedną z najdzielniejszych części wojsk, wal-

czących przeciw koalicyi". która, „przechodząc się z armiami Bonapartego po Europie", uczyła świat, jaka krzywda stała się Polsce, uczyła go oraz, że Polska jest w Europie nieodzownie potrzebną, gdyż tylko ta zdoła Europę zasłonić od świstu knutów azyjskich" (str. 443).

Jak widać, pogląd to ani naukowy, ani głębszy jakiś podkład. Nie ma w nim zrozumieniu tej formacyi wojskowej dla sprawy ogólno-europejskiej i polskiej, nie ma wniknięcia w politykę, która ją utworzyła, a następnie kazała przestać istnieć. Przejście dość wygodne „po literacku", nie dozwolone zaś w badaniach historycznych, zamknięte w dwu wierszach: że „z świetnej pamięci i krwi legionów powstało Księstwo Warszawskie, Kongresówka i rok 1830/1, uświetniony tylu ofiarami i bohaterstwami", — daje pojęcie o tonie, w jakim cały szkic jest trzymany. Jest to jakby dłuższy artykuł publicystyczny, w którym można odbiegać od tematu, robić apostrofy do czytelnika i tendencyjnie nawiązywać do wypadków chwili, w której rzecz była pisana. Tak n. p. na str. 173 znajdziemy ustęp następujący: „W godzinie „Stań się" nie podniosą się już więcej dumne głowy, aby poświecenie exploatować dla siebie. Obróćmy oczy w niedaleką przeszłość, wglądnijmy sercem i duszą, jak się tem działo i westchnijmy: „N a t c h n i j n a s, B o z e!", albo na str. 197: „Do czegoż wiodły nas ta miłość nasza, ta gorąca nadzieja? Do pracy, ofiar i poświęceń! Niechże nam ta gwiazda nieustannie przyświeca i niech nas prowadzi do poświęceń. L e p i e j n a m p a d a ć j a k o o f i a r y s z l a c h e t n e, n i ż p o z b y w s z y s i ę n a d z i e i, t y ć w p o d ł o s c i j a k w o ł y n a k a r m i e, l u b t r z e b i e ń c e u B a s z ó w", albo na str. 198: „Zawodzili ją (Polskę) i zawodzą, a l e t o n i e z ł a m i e j e j w y t r w a ł o s c i w d o p o m i n a n i u s i ę. N a t r y b u n a l e s p r a w i e d l i w o s c i z a m i a s t d y p l o m a t ó w z a s i ę d z i e B ó g i u z n a j e j k r z y w d y, a w o n c z a s b i a d a s ę d z i o m i o b ż a ł o w a n y m! B ó g d e l a t y n i e z n a."

Można, na podstawie tych przykładów się opierając, powiedzieć, że zadaniem autora było nie tyle naukowe zbadanie historyi legionów, ile ich wspomnienie, któreby wzorem męstwa i poświęcenia było dla młodzieży — zachętą do wstępowania w ślady wiarusów i stosowania ich wytrwałości i stałości w przełomowej dla Polski chwili.

Taki cel miało też na oku, drukowane w „Dzienniku Literackim" (1863, Nr. 1—10) po śmierci Romanowskiego, studyum

o Jakóbie Jasińskim. — Pierwsza to praca obszerniejsza o tym bohaterze, który był jednym z głównych przewódców powstania Kościuszkowskiego. — szkoda tylko, że nie wykończona. Nie byłaby zapewne przyniosła nowych materyałów. — tak, jak to, co jest nam znane, — nie byłaby otworzyła skrytki archiwów i bibliotek, ani nie dorzuciła rękopiśmiennych nieznanych dokumentów, bo pospiesznie piszący autor nie zaglądał do zakurzonych foliantów, — ale w każdym razie byłaby życiorysem dokładnym, rozsnutym na tle epoki, z oddaniem szczegółów, których przypomnienia nigdy nie ma za wiele. — Jest tylko dla czytelnika, co przestudyował już poprzednią pracę Romanowskiego, pewna niespodzianka. Oto tu, w podanych przez redakcyę „Dziennika Literackiego“ dziewięciu feljetonach, znajduje on to samo, co czytał już na początku legionów, — a więc lata końcowe panowania Stanisława Augusta, wojnę przeciw Rossyi i porwanie się wreszcie narodu pod wodzą Tadeusza Kościuszki. — Tak zemściło się na autorze zbytnie rozszerzenie tła legionów.

Co do uwag historycznych, to ważymy się jeden zarzut postawić Romanowskiemu, mianowicie, że głównodowodzącego w kampanii 1797 r., księcia Józefa Poniatowskiego, zbyt wielkim manekinem uczynił w ręku króla, że nie dopatrzył się w nim wodza, co mimo młodych lat miał doświadczenie i trafny sąd o sytuacyi, w jakiej się znajdował. — Niedopatrzenie to powstało wskutek niewykorzystania źródeł pierwszorzędnej wagi, jakie były w raportach i rozkazach dziennych dowódcy, przedrukowanych w „Życiu księcia Józefa Poniatowskiego“, skreślonym przez St. K. Bogusławskiego (1831). Także w wydawaniu sądu ogólnego o stanie armii i poczynionych reorganizacyach, raczej na pamiętniku szefa należało się oprzeć i z niego się informować, niżli czerpać wiadomości ze wspomnień generała Zajączka, który zawiścią i gniewem ku księciu Józefowi pałał. — Podłoże zaś ogólne tych czasów byłoby wiele zyskało przez uwzględnienie „Materyałów do historyi panowania Stanisława Augusta“, ogłoszonych w „Przyjacielu Ludu“ z r. 1844 (Rocz. XI., t. I., str. 107 i n.).

Gdyby u Romanowskiego była większa znajomość polityki polskiej i zagranicznej z końca XVIII. wieku, gdyby rozważył on naukowo całą sytuacyę państwa ani należycie pod względem militarnym zaopatrzonego, ani też nie mającego poparcia skarbu, — wówczas możeby on widział przyczyny zła i upadku po za samą osobą królewską, po za Stanisławem Augustem, który bezsprzecznie

wiele miał przewinień na swem sumieniu, — ale nie całą zagładę na Polskę sprowadził. Na to składały się wieki — i rządna ręka mogła tylko oddalić czas rozbiorów, uchylić go całkiem było już niemal zapóźno.

Idealizowanie bohatera szkicu nie zawsze jest możliwe, jeśli nie ma na potwierdzenie tych dodatnich rysów nic więcej, prócz entuzyastycznych słów autora. Tak n. p. nie wystarcza nam obrona Jasińskiego przed zarzutem nielojalności, kiedy on został w armii, skoro wszyscy oficerowie wraz z Kościuszką i Poniatowskim podali się do dymisyi po przystąpieniu króla do Targowicy. Zapewnianie czytelnika, że został on dlatego, by wśród wojska krzewić myśl powstania — jest niewystarczające. Nie mamy bowiem na to dowodów, że myśl ta już wówczas w nim tkwiła, i że w chwili, kiedy postanowił nie podawać się do dymisyi, miał już plan przyszłego działania. Może skierowały go na tę drogę późniejsze zarzuty, iż nie poszedł śladem towarzyszy broni, może to miała być rehabilitacya tylko, — a poprzednio kierował się on czem innem?

Nie obwiniając Jasińskiego, ani wdając się w tłumaczenie jego postępku, — wskazujemy tylko, jak ślizką jest droga fantastycznego dosnuwania rzeczy, których niczem, żadnym aktem, dokumentem, wiadomością współczesnych stwierdzić nie można.

Fragment „Jakóba Jasińskiego“ nie dozwala na wytykanie wad i błędów, wynikłych z przeoczenia lub opuszczenia pewnych kwestyj. Tak n. p. nie wiemy, czy autor zamierzał szerzej omówić twórczość literacką tego żołnierza poety, a jeśli zamierzał, — to czy byłby się ograniczył do takich wzmianek tylko, jak w drukowanych urywkach, czy też zdobyłby się na charakterystykę ogólną? Nie wiemy też, jak osądziłby całą jego działalność w ruchu Kościuszkowskim i jaką wagę przykładałby do stanowiska jego wojskowego. — Wszystko to zostało tajemnicą, zabraną do grobu przez autora.

Ale sąd o pracy historycznej Romanowskiego wydać się godzi, choćby na podstawie tego, co dał, co przekazał potomności, choć tego było niewiele, bardzo mało nawet. — Nie będzie ten sąd przychylny, jeśli w artykułach tych naukowego stanu badań doszukiwać się zechcemy. To raczej popularne tylko streszczenia tego, co inni ustalili, opisali i kazali wziąć za pewnik. Samodzielności, podjęcia na własną rękę poszukiwań jakichś nie ma tu wcale. Jedyną zaletą tak Legionów, jak i Jakóba Jasińskiego

jest jasność opowiadania i przystępność wykładu. To może zachęciło odbiorców „Dziennika Literackiego“ do wczytania się w rzeczy, które jako informacyjne nie są bez pożytku.

VII.

Są poeci, literaci i artyści, których rysy portretu duchowego trudno jest uchwycić, trudno przekazać wierny wizerunek ich oblicza twórczego. Łamie się linia zasadnicza, najwybitniejsze i najcharakterystyczniejsze cechy ustępują miejsca częstokroć drobnym, napozór nic nie znaczącym momentom, które się wysuwają na plan pierwszy, gwałcąc perspektywę całą harmonijnego obrazu. I nieraz taki portret duchowy jest raczej karykaturą w pojęciu utartem, szablonowem, jaką ma być prostolinijność. — ale to u tych tylko, w oczach tych, co wszędzie normalny rozwój przyjmują. Geniuszy pod ten stryhulec podciągnąć nie można, ram duszy zacieśnionych rysować nie sposób. — A skoro to się czyni mimo wszystko, skoro normę chce się znaleźć za wszelką cenę, — to wówczas powstają skrajności wręcz przeciwne. Jest taki kierunek albo zbyt idealny, albo też znów realistyczny do przesady, po za granice rzeczywistej możliwości nawet. Tak było z Dantem w monografii Hettingera a De Leonardisa, tak z Michałem Aniołem — u nas ze Słowackim.

I po takich próbach, można wreszcie powiedzieć, że są ludzie, wyrastający ponad miarę krytyki, która zamknąć się stara duszę twórczą w obręb możliwie proporcyonalnych rozmiarów, geometryczną ścisłością zaramowanych niekiedy. — Można powiedzieć, że geniusz ma nie jedno oblicze, ale ich kilka — i gdyby była sposobność w Norwidowskiem określeniu znaleźć ich „momentów summę“, wówczas dopiero otrzymalibyśmy całość oblicza na portrecie, zbliżoną do prawdy przeżytej i stworzonej.

Nie mamy tych wątliwości i obaw w stosunku do Romanowskiego. Geniuszem nie był, szerszych lotów nie rozwinął, — duszy nie miał złożonej z tonów rozlicznych, a akordów zgrzytliwych nie brał na swej harfie. Nie wahamy się rzec nawet, że pod tym względem jest on uboższy od wielu innych poetów, którzy mu ani

talentem ani rozgłosem nie dorównują. U niego jest jedna zasadnicza nuta, jedna idea i ona przygłusza resztę, co jakby akompaniamentem być miała, wtórem niekiedy zbyt słabym i niewyraźnym. Czuł on to sam, wiedział o tem doskonale, zdawał sobie sprawę dokładnie. Toż pisał: „Polsko! Ojczyzno moja! przyjmij synowskie poświęcenie się moje. Każda myśl moja, każde uczucie, każda chęć, niech będą zwrócone ku twemu dobru; moje życie, każdą kroplę krwi mojej kładę na twym ołtarzu. Niech zginę nieznany, byle myśli i uczucia moje stały się Tobie, Ojczyzno moja, — ozdobą i pożytkiem." [1])

Więcej nie chciał, — a to, co zamierzał, czego pragnął — dokonał i osiągnął tak, może jak nikt przed nim i nikt po nim. Więc z jego własnych założeń wychodząc, a odwołując się na analizę dzieł wszystkich, — stwierdzić możemy, że był przedewszystkiem pisarzem o wysoce rozwiniętem uczuciu patryotycznem, uczuciu żywiołowem, silnem, namiętnem prawie. Jako takie wcieliło się ono i wcielić mogło tylko w najistotniejszy przejaw duszy, najbardziej wyrazisty, bo powstały pod falą wrażeń zmiennych — w liryce. Ona zawarła całą jego filozofię, cały kierunek jego dążeń, jako artysty, społecznika i człowieka. To też, kto pragnie poznać Romanowskiego, dowiedzieć się, czem był, co myślał i jakich był przekonań, — musi sięgnąć po jego drobne wiersze. Odczyta tam rozwój psychiki niezwykłej, znajdzie dokument czasów, miarę serc tych, co Ojczyznę miłując — za jej wyzwolenie szli w bój. Ale patryotyzm, który źródłem natchnień był dla liryka, a treścią jego ulotnych utworów, jest nicią także przewodnią w całej twórczości. Poetę epicznego zwrócił do dziejów minionej a świetnej Polski niepodległej, — i w tych czasach kazał szukać wzorów bohaterstwa i męstwa. Dramaturgowi podsunął konflikt wojowania kmieci o wolność z despotyzmem, coś w rodzaju walki narodu ujarzmionego z rządem obcym jego naturze. — Powieściopisarz, obywatelskim duchem przejęty, starał się rozwiązać kwestyę rolną w stosunku do spraw przemysłowych, — a nadto dać przykład pracy społecznej. Historyk wreszcie popularnie opisał tragiczny koniec Rzeczypospolitej i próby jej wskrzeszenia, jakby dla przypomnienia orężnej powinności współbraciom.

Jest więc jeden dla wszystkich dzieł Romanowskiego początek, jedna myśl żywa wszędzie. Związana nierozdzielnie z czasami,

---

[1]) Pamiętnik z d. 13 lutego 1857.

w których się zrodziła, wycisnęła swe znamię, piętno wyraźne na każdym nawet drobiazgu. „Chwila osobliwa“ piastowała samego poetę, matką też była całego jego duchowego dorobku. A dorobek to liczny, jak na młode lata autora, choć niejednolity, nierówny treścią, miarą artystyczną i dojrzałością opracowania. Widać w nim jeszcze poszukiwanie dróg własnych, oryginalnych a pewnych, znać, że walkę tu toczył artysta i społecznik, że rozdźwięk był wewnętrzny między człowiekiem a jego otoczeniem. Żaden z nich nie zwyciężył, nie zatknął swego sztandaru. Jedna śmierć tylko przemogła wszystko i wszystkiem zawładnęła, jedyna ona przyszła ze znakiem władztwa, ale przyzwana głosem wielkim upragnionego szczęścia dla kraju. — I zastała go na posterunku. Nie sprzeniewierzył się zatem pieśniarz ideom swoim i swoich wielkich poprzedników, — sam, własną osobą dał łącznik górnym sferom poezyi z rzeczywistością bezlitosną a krwawą. To też słuszne są słowa Lenartowicza, który pisał, że „poezyę polską, ową twórczą marszu wojskowego Legionów, zakańcza Romanowski, na którego grobie Muza narodowa nieśmiertelne rozwiesza festony“ [1]).

Lecz to strona ideowa twórczości pisarza. Zostawmy ją teraz na uboczu, pewni, że zawsze ona młodą przetrwa, wiecznie żywą i drogą tak długo, jak Znicz poświęceń i bohaterskich porywów tlić będzie w piersiach narodu, — a popatrzmy na poetę, jako tego, który po za treścią dzieł swoich, po za ich myślowym i społecznym walorem miał być artystą, estetą, słowem: twórcą, władcą mowy i języka. Tu przedewszystkiem uderza ubogość fantazyi, snucia wizyj poetyckich i obrazów, śnionych jeno w duszy, widzianych oczyma wewnętrznego *ja*. Nie ma tej śmiałości tworzenia z mgławic świata własnego i ludzi własnych, takich bohaterów rojeń, wywołanych z mar jakichś odległych, — sytuacyj, kombinowanych i składanych przez samego autora. Znać to najbardziej w epice i dramacie. Próżno szukałby ktoś dzieła samorzutnego w całym dorobku. Wszystko o historyę oparte, o fakta realne, o treść przejętą z innych dzieł i książek. W „Dziewczęciu z Sącza“ tylko, a po części w „Popielu i Piaście“, jest dążenie do wyzwolenia się z pod ścisłej kontroli dziejopisów, a wyrwania się z pod ciężaru materyału. Ale to usiłowania nieśmiałe, drobne, nikłe. Lotność Słowackiego, która tyle podziwu u Romanowskiego budziła, lekkość, swoboda twórcy „Balladyny“, „Araba“ i „Ojca za-

[1]) Zbiory Bibl. Ossolińskich. Rkp. Nr. 2885.

dziumionych" nie wcieliła się w adoratora i mimowolnego a może umyślnego naśladowcę Juliuszowych natchnień. Umiał on żywo protestować, gromem słów bić o strop nieba, porywającą napisać inwokacyę, — ale nie rozwijał skrzydeł do zaziemskich krain, nie leciał w nie po promieniu słońca, nie czarował tęczą. Był z tych twórców, w których dziełach żyła przeszłość i teraźniejszość przez prawdę i wżycie się w nią, przez powagę swoją i pewność podstaw. Tu życie i ożywienie wizyi było zbędne, nie na miejscu w każdym razie.

Szata zewnętrznego słowa w utworach autora „Łużeckich" jest jakby kobiercem, nie według jednego wzoru tkanym. Są miejsca, złotem szyte, a niejednokrotnie i szarej nici użyto do tego haftu. Wzór, zaczęty jedwabiem, kończył się bawełną, i naodwrót. Prowincyonalizmów, zwrotów mylnych naliczyćby można sporo. Ale czasem już i to się chętnie wybacza, kiedy ujmująca prostota i niewyszukaność tak przemówią do serca, że się o wszystkiem zapomina, a idzie za myślą poety. Tak jednak czyni czytelnik: i to mu wolno. Krytyka zaś znajduje w tem dowód na powiedzenie swoje, że twórca nie był sztukmistrzem, a kunszt słowa i piękno poezyi, której połowa kryje się w wierszu, — nie leżały mu na sercu. Nie dbał o nie, skarbnicy mowy polskiej nie wzbogacił niczem nowem, brylantów nie dorzucił. — A szkoda, bo mógł to łatwo uczynić, mniej na ilość zważając, a więcej na jakość dzieł swoich.

Wobec takiego mniemania o uzdolnieniach i talencie Romanowskiego, — jakie miejsce znaleźć dlań w literaturze dziewiętnastego wieku? Czy, porównując go z Poetefim i Kŏrnerem, zaliczyć tylko w poczet poetów, których zrodziła chwila i którzy do piśmiennictwa przeszli jedynie jako wyraz czasów, znamienne ich wypowiedzenie, — czy też szukać w jego puściźnie dzieł trwalszych, myśli wielkiej przejawów? Sądzimy, że krzywdę wyrządzałoby się autorowi, gdyby z dzieł, na które mniejszą kładł wagę, czynić podstawę pod pomnik literacki. Więc z jego woli i siłą faktów do pierwszej kategoryi twórców raczej go wciągniemy. I nie wyjdzie on na tem źle, ani to jego nie ubliży pamięci. Bo z złotostruną lutnią swoją przejdzie przez naród i na zawsze w nim niezapomnianym zostanie, nie jako geniusz, ale harfiarz i piewca drgnień serdecznych przeszłych i przyszłych pokoleń niewolnej Polski. Zostanie jako uosobienie wiecznie zrywającego się protestu przeciw niedoli i jarzmu, wiecznie ku jutrzniom wyzwolin dążącego ducha. — Okolicznościowa pieśń przedpowstańcza Romanowskiego

przetrwa taką samą pobudką, aż do chwili przeczuwanego przezeń „Stań się“. A skoro stanie się już to, czego on pragnął, — wówczas promienną będzie jego postać, jako rycerza, który bojował o wielką ideę wolności.

Stanisław Lam.

Kronika literacka.

Literatura polska w oświetleniu G. Korbuta[1]).

I.

Badania historyczno-literackie zrobiły olbrzymi krok naprzód w ostatnich kilkunastu latach. Szereg monografij, omawiających poszczególnych pisarzy z zakresu literatury dawnej i najdawniejszej, źródłowe badania nad zabytkami języka polskiego, odszukanie licznych a dotąd nieznanych dokumentów wczesnej a wcale pokaźnej kultury umysłowej, doskonałe wydania tekstów wraz z wstępami i komentarzami — wszystko to razem przygotowało ciekawy i ponętny materyał dla historyka piśmiennictwa, któryby podejmując ponowny trud ujęcia całokształtu — dał obraz literatury pełniejszy i rozleglejszy, niż to dotychczas było możliwe. Minęły już bowiem te czasy, w których historyk literatury musiał trawić lat wiele na bibliograficzne zestawienia, jako że dziś skrzętni pracownicy na tem polu dokonali tak wiele, iż tylko tu i ówdzie przyczynki jakieś dorzucić jeszcze można. Toż obecnie i pojęcie historyi literatury stało się inne, niż temu lat sto kilka, kiedy to Feliks Bentkowski ogłaszał w Warszawie w r. 1814 swoją „Historyę literatury polskiej, wystawioną w spisie dzieł drukiem ogłoszonych“. Inne ono i odmienne od tego także, jakie posiadał Michał Wiszniewski i W. Al. Maciejowski, szukający ciągle jeszcze

---

[1]) Gabryel Korbut: „Literatura polska od początków do powstania styczniowego“. Książka podręczna informacyjna dla studyujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego. T. I. od wieku X. do końca XVII. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa, wielkie 8°, stron 696+XVI.

bibliograficznych podstaw, a zapewne niewiele ma ono stycznych punktów z później wydanemi już pracami Juliana Bartoszewicza i Wł. Spasowicza. Bo też i wymagania nauki, a również sfer czytelniczych zmieniły się bardzo. Kompilacye i zestawienia, jakich dość wyliczyćby można (Rogalski, Mecherzyński, Sowiński, Dubiecki, Kuliczkowski etc.) stały się niewystarczające. Literatura, jako najlepszy przejaw myśli społecznej i politycznej, najwiarygodniejsze świadectwo upodobań i poglądów estetycznych, najwymowniejszy wyraz kultury i psychologii całego narodu w ciągu długich wieków jego istnienia, skoro tylko zdołała się wyzwolić od natrętnych (a przecie tyle cenionych!) szperaczów, co to pytali ją jeno: kiedy i jaka książka wyszła, ile stronic miała i gdzie drukowana była — musiała przyjść do głosu i z witryn bibliotecznych a spisów chronologicznych czy alfabetycznych, — przemówić do naukowców i prosić ich, by raczyli się w niej rozczytywać, wnikać w myśli dawnych ludzi, żyć ich życiem, rozmiłować się w ich ideałach — a po tem wszystkiem treść książek złączyć z epoką, wypadkami dziejowymi i rozwojem całej kultury. I odtąd książka przestała być tym papierowym światem, który dość było opisać lub co najwyżej streścić. Pisarze zaczęli mówić za siebie, co więcej, za współczesnych sobie, a mówili o wszystkiem, co ich ongiś zajmowało, co było ośrodkiem ich myśli, dążeń i celów, o całokształcie życia w dawnej Polsce, o stosunkach tu panujących, o związkach, łączących umysłowość naszą z kulturą postronnych społeczeństw. Dzieje piśmiennictwa i literatury stały się już zatem wielką księgą całej umysłowości, a nietylko tych ludzi, którzy tworzyli, tem mniej omówieniem książek i prac oderwanych. Wszystko tu ma i musi mieć swój związek, swoje wytłumaczenie — i tak też nowsi historycy przedmiot swój ujmować zaczęli. Literatury Tarnowskiego i Brücknera, świetny obraz poezyi Pilata, „Literatura niepodległej polski“ Chrzanowskiego, dzieło Grządzielskiego, a nadewszystko każdą inną przewyższająca „Historya literatury polskiej“ P. Chmielowskiego, w nowem wzorowo uzupełnionem wydaniu Kossowskiego (dotychas wyszedł t. I.). Oto dowody, jak ciągle i nieprzerwanie doskonaliła się metoda historyczno-literackiej pracy w odniesieniu do całości dziejów literatury. Ale tu i ówdzie jeszcze ponad badaczem bierze górę krytyk literacki, ponad tym, co ma przedstawiać rozwój i kształtowanie się psychologii zbiorowej — staje sędzia, który według własnych upodobań, nie bacząc na objektywność historyka, sądzi ludzi, czasy, prądy polityczne, religijne i t. d. I dlatego niejednokrotnie ten lub tamten autor w różnych dziełach różne zajmuje miejsce, — ten lub inny objaw umysłowy raz zostaje wysunięty na czoło, to znów w cień bywa usuwany.

Bezsprzecznie, że na objektywność bezwzględną nikt zdobyć się nie potrafii i subjektywne zabarwienie w dziełach tego rodzaju, jak historya literatury, zawsze istnieć będzie. By jednak czytelnikowi umożliwić kontrolę słów i ocen własnych, a niekiedy wskazać mu źródła i prace konieczne dla obszerniejszego studyowania czy to jednostki, czy też całych okresów literackich, — poczęli autorowie podawać w przypiskach „literaturę przedmiotu". Bardzo obszerną bibliografię taka dał H. Biegeleisen w swoich „Illustrowanych dziejach", choć układ jej był niesystematyczny, a w wielu razach musiała ona uzupełniać to, o czem w książce samej nie wspomniano. St. Tarnowski dołączył do pojedynczych tomów również wykaz prac, mówiących o danym temacie, ale wykaz ten ogromnie był dowolny i zestawiony ogólnikowo. Najlepszą, wzorową prawie bibliografię zawiera „Historya literatury polskiej" Pilata, której wydawcy dołożyli niemało starań, by i pod tym względem postawić podręcznik na wyżynie „wykładów uniwersyteckich". Toż uwzględniono tu nietylko pozycye oddzielnie wydanych monografij, rozpraw i studyów, lecz także całe czasopiśmiennictwo, wyławiając zarówno z roczników pism naukowych, jakoteż tygodników i prasy codziennej setki przyczynków do ważniejszych kwestyj literackich. Obok więc omówienia tła historycznego, umysłowości i oświaty, obok obszernego rozbioru poezyi i charakterystyki poetów, obok systematycznego wreszcie ujęcia najbardziej znamiennych prądów literackich — dała książka ta najpewniejsze informacye tym, którzyby wychodząc po za ramy objęte przez autora — chcieli na własną rękę prowadzić dalej i głębiej sięgające studya nad polską literaturą. Należy to podkreślić i zwrócić na to uwagę tem baczniejszą, jako że w piśmiennictwie naszem brak dotychczas bibliografii czasopiśmienniczej krytyki literackiej (ludoznawstwo i słowianofilstwo mogą się już taką poszczycić), a zebranie „źródeł" z tego zakresu natrafia często na takie trudności, jak ongiś ustalenie bibliografii druków polskich, czemu znakomicie zaradzić zdołał K. Estreicher pomnikowem swem dziełem.

Ogólnie ujmując stan badań nad historya literatury polskiej, oraz rozważając metody tej umiejętności — możemy powiedzieć, iż ów „Obraz bibliograficzno-historyczny", nad szkicowaniem którego niemało namozolił się Adam Jocher (1840 r.), już dawno został rozszerzony i prawie ustalony, a historycy dzisiejsi stali się raczej badaczami dziejów myśli polskiej, zawartej w płodach piśmienniczych, niż bibliografami, ciągle jeszcze gromadzącymi materyały. Spełniając zaś swą rolę z coraz to większem zrozumieniem przedmiotu, poczęli oni równolegle rzucać zrąb pod najmłodszą w Polsce gałąź literatury, podstawę bibliograficzną dla krytyki, traktując ją obszernie przy sposobności wielkiego

malowidła kultury narodowej. — Jest w tem niejako ciągła kontrola stanu badań nad przeszłością, a zarazem jakby zadatek na dzieło wyczekiwane z niecierpliwością, którego tytuł byłby „Bibliografia historyi literatury polskiej“. Oby też ono jak najszybciej się ukazało — a wzorowane na „Bibliografii historyi polskiej“ Finkla — w opracowaniu swem jej dorównać mogło.

II.

Po licznych pracach, omawiających dzieje literatury polskiej, — po pracach, o których zaletach i cechach pozwoliliśmy sobie rozpisać się obszerniej, pojawia się wreszcie „Literatura polska“ Gabryela Korbuta. Dzieło to obliczone jest na większe rozmiary (ma mieć trzy tomy: z tych świeżo wydany t. I. liczy 45 arkuszy druku wielkiej ósemki), a przeznaczone dla „studyujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego“. Charakter jego oznacza sam autor w podtytule książki, jako „informacyjny“. Dodać jeszcze należy, że cena sama tego wydawnictwa (t. I. kosztuje 16 M. P., czyli 25 K — całość więc dojdzie do 75 K) wyklucza z szerszego rynku księgarskiego i w myśl zapewne autora uczyni ją tylko przystępną bibliotekom i naukowcom, zajmującym się dokładniej danym przedmiotem.

Po tych przedwstępnych ogólnikach, pozwalających jednakże przypuszczać, iż mamy przed sobą dzieło specyalne i czysto naukowe, — przystępujemy do czytania i oceny pracy p. Korbuta.

Już na pierwszy rzut oka widzimy, że autor porzucił drogę nowożytnego badania historyi literatury. Obcą mu jest rola pisarza, przedstawiającego dzieje piśmiennictwa w rzutach szerokich i śmiałych, — obcą praca syntetyka, czy nawet analityka. P. Korbut dał tylko i jedynie chronologiczny opis zabytków i pomników literatury, rejestr książek, ogłoszonych drukiem, a uzupełnił to możliwie krótkiemi biografiami poetów i pisarzów, oraz „literaturą przedmiotu“.

Przyznajemy się otwarcie do tego, iż niemało zdziwiliśmy się, że autor takie zajął stanowisko wobec swego tematu. Wszakże dziś wymagamy i musimy wymagać więcej od historyka, chcącego nas „informować“ o „dziejach rozwoju piśmiennictwa“. Przeszłość i tradycye badań historyczno-literackich, trwające sto lat z górą, uprawniają nas do tego. Aby jednak nie przykładać fałszywej miary do dzieła p. Korbuta, — odrazu, po zoryentowaniu się tylko w jego pracy, jesteśmy skłonni widzieć w niej nie żadną historyę, — ale zwykły podręcznik, rodzaj słownika pisarzów polskich, który autor

przeznacza nie dla czytelników, ale dla tych, co z literatury uczynili przedmiot swych studyów. Zdaje się, że jest to jedyne wyjście, by książki p. Korbuta nie uznać za anachronizm lub przedruk bibliografii, znanej już zkądinąd. Również nie dopuści to do niekorzystnych dla p. Korbuta zestawień jego dzieła z tem, co na tem polu przed nim zdziałano.

Ale te kryterya, które do „Literatury polskiej“ stosujemy w dalszym ciągu oceny, — nie zejdą poniżej miary krytyki naukowej, ponieważ nieodpowiadałoby to tym zastrzeżeniom, jakie p. Korbut poczynił już na karcie tytułowej dzieła swego. Sądzimy bowiem, że każdego autora należy oceniać z tego punktu widzenia, z którego on sam patrzy na swą pracę.

A więc przedewszystkiem ton całej „Literatury“, charakter nielicznych objaśnień i tekstów pisanych. Co do tych ustępów, będących jedyną oznaką, iż autorowi zależało na przedstawieniu rozwoju piśmiennictwa, można mieć wiele zastrzeżeń. Pisane stylem telegraficznym, zdaniami urywanemi, nie tworzą żadnej zwartej całości, a treściowo wdają się w objaśnienia n. p. tego rodzaju: „pieśni kolendowe czyli kolendy, t. j. na Boże Narodzenie“ (str. 98), „ruch reformacyjny protestancki, t. zw. reformacya“ (str. 109), „wirtuozi = artyści“ (str. 137), „afektacya = wydwarzanie“ (str. 525), „nieład architektoniczny = brak kompozycyi“ (tamże) i t. d., i t. d. Zdaje się, p. Korbut zapomina, że pisze nie dla studentów gimnazyalnych, — a książka jego chce mieć wyższy poziom, niźli kompendyum Mazanowskich. Ale to możnaby jeszcze wybaczyć. Gorzej jest, kiedy autor „informuje“ nas o pisarzach. Informacye te polegają na czysto mechanicznem wypisaniu zdań kilku z różnych książek, stojących w zupełnej z sobą sprzeczności. Od siebie p. Korbut nie mówi nigdy nic. I tak n. p. o Piotrze Zbylitowskim pisze: „Według jednych P. Z. talentem wyższy od Jędrzeja, według innych niższy“ (str. 450). Rej, „jak się zdaje, w formie dyalogowej“ wydał „Kupca“ (str. 243). Przy Pawle z Krosna przyjmuje jako datę śmierci r. 1517, nie podaje natomiast w wątpliwość autorstwa wiersza „De nuptiis Sigismundi regis Poloniae et Bonae... carmen“, który wyszedł w r. 1518 (str. 138). Opierając się zaś na zapowiedzi z przed kilkunastu lat, zapowiedzi, niespełnionej niestety, przedrukowuje ją, jakby miała walor na dziś, i zapewnia, iż niedrukowane poezye Pawła „ma wydać Jezienicki w Corpus antiq. poetarum Pol. lat.“ (str. 138). Szczytem jednak wszystkiego są objaśnienia do Biernata z Lublina i Mikołaja Reja. Oto przy autorze „Ezopa“ pisze: „Ojciec piśmiennictwa polskiego, ojciec polskiej poezyi świeckiej, ...pierwszy znany z imienia

autor świecki polski" (str. 124), zaś przy Reju z Nagłowic znów w odniesieniu do twórcy „Żywotu Józefa", z całą stanowczością utrzymuje, iż ten ci to jest „ojciec piśmiennictwa polskiego" (str. 239). Jak to się stało, że literatura polska miała aż dwu ojców, a zarazem dwu „pierwszych świeckich pisarzy", to już na zawsze zostanie tajemnicą p. Korbuta. Ale to nie jedno odkrycie autora „Literatury polskiej". On wie napewne, że Rej „literaturze narodowej narodowe wytyczał tory" (str. 239), a także, że był „szermierzem protestantyzmu", co spowodowało, iż p. K. o sto stronic już dalej dał osobny odsyłacz (str. 345). O niektórych rzeczach na przestrzeni dwu lub trzech stronic mówi znów dwukrotnie (n. p. str. 239: „do najwcześniejszych poezyj Reja zaliczają niektórzy historycy przekłady pojedynczych psalmów i pieśni nabożne" i na str. 241: „Rej... zaczał swą działalność literacką od przeróbek i naśladowań pieśni religijnych"). Naturalnie, że wszystko to jest oznaką nietylko mechanicznej pracy, ale także nieoryentowania się w materyale, lub w tem, co się wypisało przygodnie, bez kontroli źródeł czasu i miejsca. Skoro zaś poszczególne przykłady wskazują na taką powierzchowną pracę, — to dopiero przy sprawdzaniu ram całości okazuje się, iż p. Korbut nie zawsze jednakowo był łaskaw dla wszystkich ludzi piśmiennych w Polsce. Bo już to wciągając do literatury matematyków, botaników, zoologów, miłośników chowu koni etc., powinien był pamiętać przedewszystkiem o rymopisach, tem bardziej, skoro oceną ich literackiej działalności zajmować się nie chciał. A zdaje mi się, iż tu odszukałoby się niejedną ciekawą postać, którą w takim słowniku autorów, jaki dał p. K., powinno się znaleźć. Radzibyśmy więc widzieć z trenopisarzy n. p. Jana Piotrowicza, autora „Żalów pogrzebnych po zejściu prędkiem sławnej pamięci J. M. pani Katarzynej z Czarnkowa Czarnkowskiej" (1611 r.), lub Jarochowskiego Andrzeja, co to pisał „Łzy smutne na śmierć Melchiora Pudłowskiego" (r. 1617), albo Wespazyana Piotrowskiego z jego „Żalami pogrzebowymi... Sebastyanowi Lubomirskiemu" (r. 1613), albo wreszcie Stefana Teodozego, pod którego napiskiem zanotowała bibliografia rzecz p. t.: „Suprema, albo ostatnia posługa J. M. Gabryelowi Wojnie oddana 1615 r.". Nie obojętnem też dla literatury jest nazwisko Jana Krajewskiego i M. Kurzelowszczyka, tłumacza Ovidiusa, p. t.: „Ovidius albo przeciwko płomienistej miłości ksiąg dwoje" (wyd. bez roku, jednak w 1584).

Widać więc z tego, że o ile p. Korbut rozszerza z jednej strony ramy piśmiennictwa tak dalece, że ma zamiar objąć niemi wszystko, cokolwiek w Polsce kiedykolwiek napisano, — to znów z drugiej strony,

z przyczyn zupełnie niewiadomych i niczem nieuzasadnionych, zacieśnia je znacznie, pomijając nawet tych autorów, których działalność oceniona już została przez innych historyków literatury.

Mamy jednak prawo wymagać od p. K., by przy pisarzach, których już wymienia, dawał wskazówki nietylko bio-bibliograficzne, ale też historyczno-literackie, co było i jest praktykowane nie już w dziełach specyalnych, ale nawet w... leksykonach i encyklopedyach. A zdałoby się n. p. przy Pawle Zaborowskim (str. 453) zamiast ogólnika „o tłumaczu nic nie wiemy", powiedzieć, że jego Batrachomyomachia albo Żabomysza wojna (1588 r.) jest jedynym w tym czasie śladem przekładów z greczyzny. Przy Janie Danieckim nie zaszkodziłoby napomknąć, że jako trenopisarz (ważniejsze to, niźli objaśnienie, podane przez p. K., iż „był dworzaninem u różnych panów", str. 461) jest naśladowcą J. Kochanowskiego, i że n. p. w „Elegii na śmierć żałosną Joachima Lubomirskiego" dosłownie przepisuje miejsca z Trenów Jana z Czarnolasu (por. „Jako latorośl winna...", z V. tr. Kochanowskiego). Przy Bieżanowskim (str. 622) należało wymienić „Acroama panegiricum honoris urbis Leopoliensis" (Cracoviae 1659) i dodać, że tam wspomina on o tem, iż „Hymny na uroczyste święta Panny nad Matkami... J. B. Zimorowicza" są tłumaczeniem z łaciny.

I takich „dodatków" zebrałoby się sporo. Ponieważ jednak p. Korbut zdaje się uważać wszystko to za rzeczy drugorzędne, a na plan pierwszy wysuwa bibliografię, — przeto i my, osądzając jego dzieło jako drugorzędne pod tym względem, — przechodzimy do rozpatrzenia się w systemie, układzie i wartości tych zestawień, jakie stanowią najobszerniejszą część książki.

III.

Bibliografia, ułożona przez p. Korbuta, jest podwójna, dotyczy bowiem nietylko rzeczy powstałych lub ogłoszonych drukiem w ciągu w. X. do XVII., ale także „literatury przedmiotu", a więc tego wszystkiego, co o dawnej literaturze u nas napisano. Co do pierwszej, zestawionej w chronologicznym porządku, to za zasługę należy poczytać autorowi zebranie wydań przeróżnych pomników językowych, podanie pism i książek, w których ten lub ów ułamek został wydrukowany przez szczęśliwego odkrywcę. Nie wszystkie są mu atoli znane. Pomija n. p. „List ręką bożą pisany" [Epistola manu Dei scripta], zanotowany w rękop. kleryka poznańskiego Michała z Krobina 1521 r. — zabytek tem ciekawszy, że echa jego są w fraszkach XVI. i XVII. w., a nawet

w dzisiejszej literaturze ludowej; nie znajdujemy też: „Vigilie za umarle lyudzye duszam w cyscu barzo pomoczne" (odpis około r. 1520 z rękop. z końca XV. w.).

Przy innych znów rzeczach, jak n. p. „Rocznik kapituły krakowskiej", chcielibyśmy widzieć nietylko oznaczenie: „wiek XIII." (str. 2), ale datę dokładniejszą, mianowicie r. 1267. Toż samo przy „Kancyonale Przeworszczyka" nie wystarcza „wiek XV." (str. 98): trzeba podać r. 1435. W wielu miejscach zadowala się autor dopiskiem: „niektóre dzieła spoczywają w rękopisie". Jest to nieco zamało. Dlatego przy Janie z Głogowa (str. 30) powinien był podać, że w rękop. Bibl. Jagiell. spoczywa: „Egidii Romani... sancti Augustini in libros priorum auditicorum interpretatio fidelissima", „Introductio pulchva in octo libros phisicorum Aristotelis" i „Introductio in primam Philosophiam Aristotelis"; przy Michale z Bystrzykowa, gdzie wymieniono tylko jeden traktat, o rękopisach zaś wcale nie wspomniano (str. 32), koniecznie dopisać się musi, iż w Bibl. Jagiell. jest złożony „Tractatus in scripta philosophica Scoti". Tak rzadkie druki, jak Tobiasza Wiszniowskiego „Threny" (str. 438), zasługują na to, by cały ich tytuł przytoczyć (Threny pobożnej a szlachetnej Pani Róży Wiszniowskiej Pani matce a Dobrodziejce swej miłej, która prawie przez ogień i wodę przeszedłszy biegu dokonała R. P. 1585 i już spoczywa w Panu — żałosny syn łzy lejąc pisał").

U bardziej znanych poetów wypadałoby notować także czas, w którym się ukazały drugie wydania ich poezyj (tak u B. Zimorowicza n. p. „Hymny na uroczyste święta", wydane w r. 1640; nowe wyd. według Korbuta (str. 529) było dopiero w 1875 — podczas gdy istotnie wyszło w 1641 r., a jeden z nielicznych egzemplarzy tej edycyi znajduje się w Bibl. hr. Czarneckiego w Rusku). Również dzieła mniej wybitnych autorów, o ile odnoszą się do innych pisarzy lub mogą stanowić przedmiot badań historyczno-literackich, mają pełne prawo do tego, by być w spisie biblograficznym (dlatego przy St. Sokołowskim, str. 393, powinno być wyliczone „Epithalamion", wspomniane przez p. Korbuta dopiero przy Szymonowiczu). Zaś wcale już niedopuszczalne jest wyliczanie tylko „najważniejszych dzieł" (str. 396) u tak ważnych pisarzy, jak Skarga. Tu już od uczniów szkół średnich wymaga się znajomości wszystkich tytułów, a cóż dopiero mówić o historyku literatury?!

Ale nietylko taki eksperyment spotykamy u p. Korbuta. Czasem nudzi mu się spisywać wszystkie książki, to też załatwia się krótko: pisze: „obacz Estreiche"... i koniec (str. 353, 385, 579, 581, 595, 597, 598, 611 i i.). Ależ każdy „naukowo studyujący dzieje rozwoju piśmiennictwa" wie sam, że bibliografię druków znajdzie tam

napewno i nie potrzebuje w tym względzie rad i „informacyj“ p. K. Albo więc nigdzie nie trzeba było dawać inwentarza dzieł i zastąpić go odsyłaczem do Estreichera, albo też iść konsekwentnie i samemu wszędzie zestawić spisy mniej lub więcej dokładne.

Znacznie jeszcze gorzej przedstawia sie „literatura przedmiotu“. P. Korbut nie uświadomił sobie, że tu musi być jakaś metoda, jakiś system. Można więc było przyjąć bądźto układ chronologiczny, za którym przemawia to, iż mamy równocześnie unaoczniony postęp studyów, bądź to alfabetyczny, ułatwiający oryentacyę według autorów, — bądź też wysortowanie i podanie bibliografii według wartości dzieł cytowanych. P. Korbut zapowiada wprawdzie na okładce tomu pierwszego, iż w trzecim tomie swej pracy da „klasyfikacyę opracowań według ich charakteru i wartości naukowej“, tymczasem jednak mamy chaos, a wątpimy, czy i w przyszłości „klasyfikacya“ jakaś coś pomoże, skoro nie stosowano jej w samym układzie. Tak bowiem, jak jest teraz, niema u p. K. przestrzeganej ani chronologii, ani alfabetu, ani wartości (n. p. na str. 468 pozycya 6 pochodzi z r. 1833, pozycya 7 z r. 1815, poz. 8 z r. 1848, poz. 9 z r. 1847, — na tejże stronie poz. 1 Starowolski, poz. 2 *S*olski, poz. 3 *J*uszyński, poz. 4 *B*rodziński itd.: toż samo spotykamy na str. 433, 238, 248, 249, 425 i w. i.).

Brak jakiegoś systemu mści się także i w innym kierunku. Oto niektóre książki cytuje p. Korbut po kilka razy, mnożąc przez to ilość pozycyj w nieskończoność. I tak n. p. na str. 421 wymienia Chlebowskiego „Pobyt Kochanowskiego na dworach panów małopolskich“ pod „życiorysy i przyczynki biograficzne“, a na str. 422 wypisuje raz jeszcze cały tytuł z odsyłaczami do „Tygodnika ilustrowanego“ z r. 1884 i „Pism“ Chlebowskiego, t. II., pod „Charakterystyki pisarza“. Podobnie jest na str. 530, gdzie wydanie listów Zimorowicza przez Hecka w „Przewodniku nauk. i liter.“ z r. 1884 aż dwukrotnie jest wspomniane. Na str. 543, w ustępie bibl., zatytułowanym: „Bibliografię utworów rękopiśmiennych Wacława Potockiego podali“ — przytacza: „Biegeleisen: Rękopisy W. P. Wiadomości bibliograficzne 1885“ i „Kraszewski: Wiadomość o rękopisach Wojny chocimskiej Przegląd bibliograf. archeol. 1881 I.“ — i teżsame dwie prace umieszcza na str. 544 w ogólnej „literaturze o W. Potockim“. Szujskiego „Odrodzenie i reformacya w Polsce“ jest raz zapisane (na str. 112) pod „literatura do dziejów humanizmu“ i zaraz tuż obok na str. 114 pod „Literatura do dziejów reformacyi... w Polsce“. Przykładów tego rodzaju możnaby nie dziesiątki, ale setki całe przytoczyć.

Lecz o ile jest p. Korbut szczodrym w powtarzaniu rzeczy i książek ogólnie znanych, o tyle dzieł zbiorowych a mało dostępnych (n. p.

„Księga Skargowska“, drukowana w 47 egzempl., której nie posiadają nawet większe biblioteki) nie rozdziela ani według autorów, ani według tematu (str. 402). Zresztą jest to u niego zupełnie dowolne, gdyż n. p. „Z wieku Mikołaja Reja“ cytuje nietylko w całości (str. 250, poz. 33), ale i oddzielnie każdą rozprawę (str. 249 poz. 14, 15, 16, str. 250 poz. 19, str. 251 poz. 4, str. 252 poz. 13 i 28).

W wielu miejscach i przy wielu autorach wcale nie podano bibliografii. I to nawet przy tak ważnych kwestyach, jak „Druki polskie z lat 1506—1543 i pierwsze książki polskie osobno wydane (str. 121). A przecie nie brak dzieł, omawiających początki drukarstwa, znamy bowiem F. Bentkowskiego: „Wiadomość o najdawniejszych książkach polskich, drukowanych w Polsce, a w szczególności o tych, które Jan Haller w Krakowie wydał“ (Warszawa 1822), J. Sobki: „J. Haller, krakowskij tipografszczik XVI. w.“ (Żur. min. nar. prośw. 1883, zeszyt XI.), oraz dr. K. Miaskowskiego: „Cztery nieznane druki krakowskie z lat 1523—34“ (Rocznik Tow. Przyj. nauk w Poznaniu, tom XXX., Poznań 1904). Także do „pieśni religijnych“ (str. 98) możnaby podać literaturę ogólną, choćby miała nią być jedynie rozprawa Józefa Surzyńskiego „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów aż do końca XVI. w.“ (Rozp. Akad. Umiejętności Wydz. filoz., 1893, S. II., T. IV.), Jan Grotkowski (str. 558) nie jest azupełniony bibliografią, mimo, iż n. p. rozprawa o nim Nabielaka („Jana Grotkowskiego przekłady obcych poetów“, Bibl. Ossol. Poczet nowy, t. VIII,, 1866, str. 131—176) w świetle badań nowszych (Kaz. Jarecki: „Kto jest autorem tłumaczeń przypisywanych Grotkowskiemu“, Pam. liter.. IV., 1908, str. 240) daje ciekawy materyał do porównań.

Te zaś odsyłacze, które są u p. Korbuta, — niezawsze wystarczające i zamało dokładne. N. p. w „literaturze o Grzegorzu z Sambora“ (str. 156) podaje: „Sołtykiewicz: O stanie Akademii krak.“. Czy nie trzebaby tu dodać: „r. 1810, str. 344—64“? Na str. 162 pisze: „Carmina postuma“ edidit I. Krystaniecki, Lwów 1876“ — szukaj pod: Jahresbericht des II. Obergymnasiums im Lemberg 1876. Na str. 470 cytuje: Wadowski: „Wiadomość o profesorach Akademii Zamojskiej“, 1899, — z czego wnosićby można, iż Wadowski napisał jakieś studyum, podczas gdy to tylko rękopis z XVII. w., wydany w I. tomie „Materyałów i opracowań, dotyczących historyi i wyższych zakładów naukowych w Polsce“.

Tak to wyglądają informacye p. Korbuta.

A teraz sprawdzimy „na wyrywki“, czy w swojej „literaturze przedmiotu“ wyczerpał p. Korbut cały istniejący materyał. Przecie to

było jego punktem ambicyi i całem dążeniem. Ambicye te jednak i dążenia niedopisały. W ciągu kilkudniowej bowiem lektury książki p. K. zebraliśmy tak sporą ilość rzeczy pominiętych, iż moglibyśmy wcale pokaźny „tom dodatkowy" ogłosić. Tu ograniczamy się z konieczności do wyliczenia kilku tylko najważniejszych prac, których nie znajdujemy w dziele omawianem. I tak, przy filozofach średniowiecznych napróżno szukamy dr. K. Twardowskiego: „Filozofii średniowiecznej", gdzie w dopiskach są wcale dokładne dane bio- i bibliograficzne. „Początki drukarstwa w Polsce" aż proszą się o odsyłacz do Bibliografii Finkla, podającej w t. II., 965—7 poz. 20.136—20.203 i III. 1636 poz. 33.364—33 376 materyał do historyi sztuki drukarskiej. Także A. Kałajdowicza ciekawa rozprawa p. t.: „Swiedenija o trudach Swaipolta Feolia" (Moskwa 1820) byłaby tu zupełnie na miejscu a na humanizm rzuca ciekawe światło Voigta: „Die Wiederbelebung des klass. Altertums" (Berlin 1893). O Jerzym z Lignicy więcej powiedział Zygmunt Węclewski o „Studyach w Polsce nad literaturą grecką w czterech przeszłych wiekach" (Bibl. Warsz., 1861. IV., 178—190). niż przy każdej sposobności cytowany przez p. Korbuta K. Morawski w „Historyi Uniwersytetu Jagiellońskiego" (II., 254—5). Toż samo można twierdzić o „przyczynkach", zebranych do Benedykta Herbesta (str. 205). gdzie brak zajmującej pracy P. Chmielowskiego p. t.: „Lat dziesięć z dziejów wychowania w Polsce w XVI. w." („Bluszcz", 1877). Przy Łukaszu Górnickim (str. 261) koniecznem jest wymienienie W. Hahna „Literatury dramatycznej w Polsce w XVI. w." (Lwów 1906), gdyż tam zebraną jest cała bibliografia do „Troas" w przekładzie autora „Dworzanina polskiego". Literaturę o psałterzach (str. 333) można uzupełnić rzeczą Al. Brücknera p. t.: „Na zaraniu literatury" (Bibl. Warsz., 1902, II., 275—308), zaś szereg rozpraw o kancyonałach (str. 340) wynikami badań tegoż samego autora, podanymi w „Źródłach do dziejów literatury i oświaty polskiej" (VII. Wiersze i pieśni religijne. — Bibl. Warsz., 1893, IV., str. 432 i n.). Nie bez znaczenia dla studyów o Klonowiczu (str. 432) są: Brücknera „Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III." (Przewodnik naukowy i literacki, 1902. t. XXX) i T. Grabowskiego: „Kwestya broszury „Actio in Jesuitas prima" (Spraw. z czyn. i posiedz. Akad. Umiej., 1908). O Sielankach Szymona Szymonowicza i Bartł. Zimorowicza pisał M. K. w „Warcie" (III., 1877, Nr. 141—142), o Opalińskim zaś Chodynicki w „Dykcyonarzu uczonych Polaków" (t. I.) i Kraszewski w „Studyach literackich" (Wilno 1842, str. 279). Za charakterystykę satyry w Polsce może uchodzić rozprawa Stanisława Badeniego „O satyrze".

Dziwne jest stanowisko, jakie zajmuje p. Korbut wobec różnych podręczników historyi literatury. Niektóre z nich, jak n. p. Wiszniewskiego i Maciejowskiego, cytuje ciągle, inne (n. p. Pilata) uznaje tylko wówczas, kiedy chce dać odsyłacz do materyału bibliograficznego. Natomiast charakterystyki pisarzy nic go nie obchodzą. Literaturę Chmielowskiego stale ignoruje, a jeśli już robi wyjątek, jak n. p. na str. 580, to cytuje pierwsze, mało dostępne wydanie, zapominając o świeżo ogłoszonym nakładzie drugim. Literatury Tarnowskiego, Brücknera i Grzędzielskiego nie istnieją prawie dla p. Korbuta, choć w nich znaleźć można obok tego wszystkiego, co on dał, omówienie także dzieł odnośnych pisarzy i tło, na którem oni występują. Jest to niby przemilczanie niewygodnych „konkurentów".

Ale o ile tamte rzeczy autor pomija (chyba nie dlatego, by je uważał za zbyt mało naukowe!), to z całą lubością podsuwa „studya"... Mazanowskiego. I to jako monografie albo opracowania „ważniejsze"! (ob. str. 420, gdzie figuruje tak broszurka o Kochanowskim, wydana u Zuckerkandla w Złoczowie, lub na str. 401 poz. 45 popularna rozprawka o Skardze, wydana przez Tow. im. Piotra Skargi we Lwowie. Czemu p. K. nie wylicza wzorowej, popularnej pracy o Skardze dr. K. Wojciechowskiego z Bibl. „Macierzy polskiej"?). Wogóle pan Korbut ma zamiłowanie do „książek dla wszystkich" (Areta), a nawet do „wstępów", jakie tam przy różnych wydaniach się pojawiają (n. p. str. 554 poz. 27 kilkudziesięcio wierszowa biografia Andrzeja Morsztyna, skreślona przez Strzeleckiego przy ogłoszeniu poezyj M.). Wątpić należy, czy takie prace mogą przynieść jakąś korzyść naukowcom i czy wobec tego nie szkoda było miejsca na nie w książce, stawiającej sobie poważniejsze cele. Jakkolwiek jednak jest, możemy już, opierając się na tym fakcie, mieć poważne obawy co do tego, jak wypadnie owa „klasyfikacya" „literatury o literaturze polskiej", którą nam p. Korbut przyrzeka.

Po tem wszystkiem, cośmy tu o książce p. K. powiedzieli, musimy dać jeszcze odpowiedź na jedno: czy i o ile praca ta ma wartość jako podręcznik, jako słownik pisarzy polskich, na którym to poziomie ją poprzednio postawiliśmy. Jesteśmy zdania, że nie ubliżymy p. Korbutowi, jeśli dzieło jego zakwalifikujemy jako książkę dla samouków. Ci bowiem istotnie mogą się z niej czegoś dowiedzieć, znajdą wystarczające dla siebie wskazówki i materyał, który jakkolwiek ludziom nauki jest dawno znany — dla nich będzie nowością. A skoro tylko będą zeń rozsądnie korzystać — mogą mieć dobry przewodnik po labiryncie literatury i krytyki polskiej.

P. Korbutowi zaś życzyć należy, by w następnych tomach swej pracy więcej był historykiem piśmiennictwa, niż bibliografem, który mechanicznie wszystko zwykł traktować. Niech książki nie będą dlań tem, czem dla antykwaryusza stare, pożółkłe papiery, — niech ciągle pamięta o tem, że literatura jest żywym organizmem, który wraz z myślą ludzką, postępem i wypadkami chwili zawsze w stałej pozostaje łączności. A pamiętając o tem, rozszerzy autor te objaśnienia, jakich nam tak skąpił w tomie już ogłoszonym. Historya, polityka, stosunek literatury swojskiej do zagranicy, wpływy tejże na kształtowanie się naszych poglądów i t. d. — wszystko to niech się zawrze w tych ustępach, co mają rzucić tło ogólne, a zarazem stać się dopełnieniem i wyjaśnieniem działalności naszych pisarzów. Na tem zyska tylko książka, stanie się pełniejsza, plastyczniejsza, a także w samem ujęciu tematu więcej nowożytna. Co do układu zaś bibliografii, opracowania jej, zakresu i wartości — to sądzimy, że tych uwag kilka, któreśmy w naszych wywodach poczynili, — uzna p. Korbut jako głos objektywnej krytyki i całą tę część swej pracy podda dokładnej rewizyi. Wówczas, mamy nadzieję, że pisząc o wszystkich trzech tomach jego literatury, nie będziemy już wracać do tych zarzutów, jakieśmy dziś z obowiązku sprawozdawcy podnieść musieli.

Stanisław Lam.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ"